DZIŚ I JUTRO



MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

Nr. 6 **LUTY 1935** **ROK XI.**

PAN PREZYDENT NIECH ŻYJE!!!

Dziś i Jutro

pismo dla młodzieży

Kraków.

Rok XI. 1935. LUTY Nr 6.

NIECH ŻYJE!

Echem donośnem po całej Polsce i aż zagranicą wśród uchodźtwa w dniu 1 lutego rozbrzmiewa ten okrzyk.

Potężny głos 36-ciomiljonowego narodu z entuzjazmem w dniu Imienin Naczelnika Państwa tym okrzykiem — „Niech żyje!" — życzenia Mu składał. Życzenia długiego i pomyślnego życia, pełni sił i zdrowia, nadal tak owocnej pracy sternika Państwa i męża nauki.

Redakcja pisma dla młodzieży, pozostając w bezpośrednim z nią kontakcie, wczuwa się w jej ukochania i pragnienia. Śpieszy, by na swych łamach w imieniu własnem i czytelników — młodzieży — złożyć hołd czci, uznania i wierności Ukochanemu Prezydentowi.

Młodzieży wpatrzonej w przyszłość nic tak nie imponuje, nic jej tak nie porywa i nie fascynuje, jak wybitne cechy indywidualności Pana Prezydenta, a przedewszystkiem nauka wkraczająca w dziedzinę twórczych wynalazków i dobroć.

Wglądając w przeszłość Ignacego Mościckiego może zbyt śmiało i niedyskretnie, ale niemniej z pełną czcią i uznaniem dla prac Jego młodych lat, spostrzegamy u tego niezwykle uzdolnionego chłopca, ucznia szkoły średniej w Warszawie, a następnie akademika w Rydze, ustawiczne rozwijanie talentów ręką Stwórcy hojnie w Jego umysł wszczepionych. Były to lata, w których młody Akademik kształcił się wytrwale, konsekwentnie specjalizując się i zgłębiając te dziedziny, w których Jego młody indywidualizm miał najsilniejsze upodobanie. Upodobaniem tem była chemja. Jednocześnie tętni w nim krew przodków-powstańców z walk o niepodległość w r. 1831 i 1863. I w nim tkwi zarzewie buntu przeciw obcej przemocy, impuls do działania w kierunku oswobodzenia się z pod tyranji, moc naszej ówczesnej młodzieży, która ją spaja w związki konspiracyjne celem utrzymania i pokrzepienia ducha polskiego oraz zszeregowania zastępów do przyszłej czynnej akcji.

Nasze pokolenie spod zaborów pamięta dobrze te przeżycia własne nacechowane zespoleniem całej energji w jednym kierunku: pominąć, uwolnić się, przekroczyć *bezprawne prawa.*

Niejednym paczyły się i załamywały charaktery w walce, znaczna jednak większość wychodziła z tej opresji zwycięsko, wybielona nad śnieg, potężna hartem woli.

Poprzez dalsze etapy umiłowanej pracy naukowej przesuwa się młody Mościcki z Rygi do Londynu i aż do Fryburga skierowuje swe kroki. Tam, skoro Mu nie wolno pracować na własnym Uniwersytecie w Warszawie, pracuje niemniej wydatnie wśród

obcych, wśród rodaków na obczyźnie szerzy ideę niepodległości.

Ukochany kraj i Naród odpłaca się wdzięcznością, wybierając Go dwukrotnie na najwyższego dostojnika niepodległego Państwa. Wybitny Mąż przyjmuje ten urząd, a z nim największą odpowiedzialność jaką Mu nowa Konstytucja daje w rękę i z niej wynikające wysunięcie się na forum wszechświatowe tak nieraz skomplikowane, zawiłe i trudne.

Na stanowisku tem w działalności Pana Prezydenta uwydatnia się wielka dobroć w ujmującej popularności. W dzisiejszej epoce w państwie tak bardzo zdemokratyzowanem jakiem jest Polska, ta szlachetna cecha charakteru Pana Prezydenta ujmuje cały naród. Czynnie kochając wszystkich Obywateli staje się »wszystkiem dla wszystkich«. Wszędzie zapraszany jest owacyjnie witany. Na Święcie Morza przystraja się w mundur marynarski — wszak jest honorowym członkiem Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Wśród Harcerzy, jest jednym z nich — Świeżo, jak się dowiadujemy, odwiedził ubogą ochronkę dla dzieci robotników w Mościcach. Ponadto otwiera szeroko podwoje Zamku, przyjmując zjazdy delegatów wszelkich organizacyj, kół i związków. W dorocznych tradycyjnych dożynkach w Spale brata się z ludem, z radością przybywającym ze wszystkich stron Polski. Każdy — w którym tętni krew polska — jest bliski, drogi i ceniony przez Pana Prezydenta.

To najwyższe stanowisko w Polsce wymaga nieraz zupełnego przekreślenia swego »ja«, swoich upodobań, zachcianek i wygód. Im wyższy urząd i odpowiedzialność — tem bardziej trzeba być na usługi dobra sprawy sobie powierzonej.

Nieraz możemy podziwiać codzienny trud życia czołowego reprezentanta Polski będąc na obchodach i uroczystościach. Prasa codzienna wymownie nam głosi o tych wszystkich wyjazdach i przejazdach, na które zawsze ma być gotów Pan Prezydent. A taki napozór nieznaczny szczegół świeżo zaobserwowany, czy nie mówi nam o ofiarnej uczynności Głowy Państwa: Obchody ku uczczeniu 30-lecia pracy naukowej musiały przeciągnąć się do późnej nocy na Zamku, a nazajutrz o 7-mej z rana Prezydent już był obecny na Mszy św. i poświęceniu przytułka dla bezdomnych chłopców na przedmieściu Warszawy w Zakładzie Braci Albertynów.

Pan Prezydent niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!... *Redaktorka.*

Radosny wiersz

Rozwieram ramiona sprężone młodością,
w przytulnym ucisku ogarnąć chcę świat;
jak pięknem jest życie, jak wielką radością
na duszę, na serce — entuzjazm mój padł.

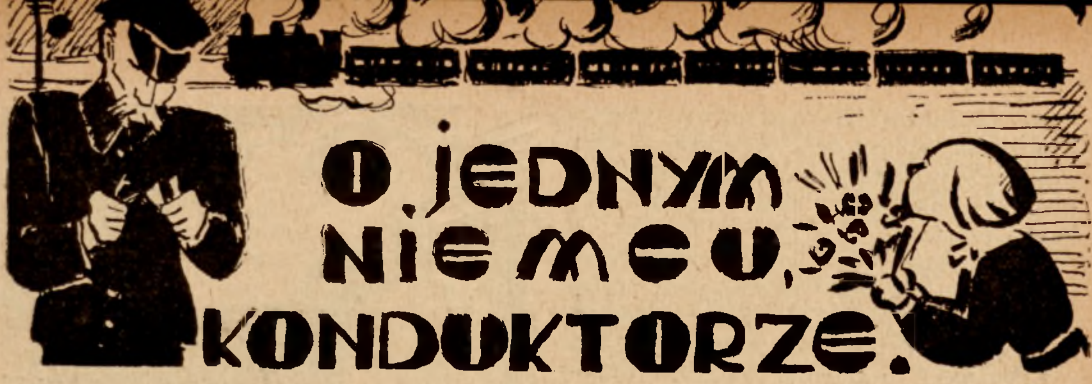
Za ciasne mi ściany pokoju cichego,
gdzie słodkim półmrokiem rozściela się cień,
jak żeglarz niezlękły chcę dalej od brzegu
na morze wypłynąć buńczucznych swych śnień.

Ponosi mnie szczęście — rozpinam ramiona,
wybiegam na nartach na śniegi wśród pól
i słyszę wyraźnie w drzew nagich miljonach
tętniący — jednaki jak w sercu mem — puls.

I słyszę wyraźnie w gwiazd pierwszych po- [chrzęście
odpowiedź na wszystkich zniechęceń mych bunt
i razem z gwiazdami ogarniam swe szczęście,
zrodzone w prac sile, w marzeniach mych złud.

I razem z gwiazdami zamykam w swej duszy
potęgę miłości — i wiary mej kwiat
i uśmiech dziecinny, najprostszą moc wzruszeń,
i widzę, rozumiem, jak piękny jest świat!

B. Marcinkowska — Buderowska.



O jednym Niemcu, konduktorze.

Jechał Janek z Mamą z Genewy do Polski. Mama była słaba, dlatego zakupiono dla niej cały przedział wagonu sypialnego. Mama miała spać nadole a Janek nagórze.

»Kędy my pojedziemy, Mamo?«, pytał Janek w wilję wyjazdu. »Pojedziemy, synku, przez Niemcy, na Frankfurt i Berlin, bo to najkrótsza droga«, powiedziała Mama. »Ależ Mamo, czy nam tam nie zrobią nic złego!« — przeraził się Janek. »Co znowu, przecież niema wojny, Janeczku. Wszystkie narody bywają uprzejme dla podróżnych, bo inaczej niktby nie chciał jeździć koleją przez obcy kraj i kolejeby pobankrutowały. Kto ci nakładł w głowę tych strachów?« — »To Staś Zapolski, Mamusiu, mówił, że nas Niemcy długo mieli w niewoli i bardzo nam dokuczali, a teraz czekają tylko sposobności, żeby nas wszystkich pozabijać, bo chcą mieszkać na naszej ziemi«. Mama się uśmiechnęła: »Staś za dużo czyta gazet, synku, a za mało się uczył historji. To wszystko nie jest takie proste. W każdym razie bądź spokojny o naszą podróż. Niemcy mają zupełnie inne kłopoty niż zabijanie ciebie i mnie. A teraz już nie nudź«... I Mama zabrała się z pokojową *Marie* do pakowania.

Na dworcu różni panowie i panie ponaprzynosili Mamie kwiatów i cukierków. Kiedy pociąg podano, Mama z Jankiem weszli do wagonu, a wszystkie rzeczy przez okno odebrał konduktor wozu sypialnego, tęgi i wysoki Niemiec. Barczysty, mocny i pewny siebie mówił łamaną nieco francuszczyzną, wziął bilety i wyraził swoje niezadowolenie z kilkunastu pęków kwiatów, które zawaliły cały przedział. Mama poprosiła go grzecznie po francusku, żeby zechciał włożyć kwiaty do pustego przedziału do wnętrza której z kanap sypialnych, gdzieby było chłodniej niż w mocno ogrzanym, zajętym przedziale. Ale on tylko coś oburknął i poszedł rozmieszczać inne, później przybyłe, osoby.

»Mamo«, zapytał Janek, »to pewno Niemiec«. »Tak, synku«, powiedziała Mama, „szkoda, że nie umiem po niemiecku, bo możebym się z nim lepiej dogadała«. »To ja spróbuję«, powiedział Janek, który brał od poznaniaka lekcje niemieckiego przez cały ubiegły rok, a którego francuszczyzna była zato bardzo słaba. »Poczekaj chwilkę«, poradziła Mama, »dojedziemy do granicy, on się trochę wysapie, przyzwyczai się do naszych zbyt licznych pakunków i zrobi się łagodniejszy«.

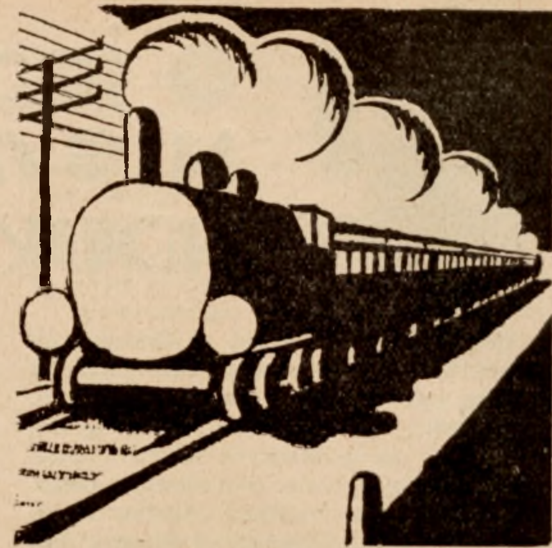
Zaraz za Bazyleją konduktor po przebyciu granicy zabrał się do słania łóżek. Mama wyszła na korytarz, a Janek postanowił spróbować szczęścia. Widząc jak konduktor z miejsca na miejsce przekłada kwiaty, zwrócił się do niego po niemiecku z grzeczną prośbą, aby jednak pozwolił kwiaty złożyć w pustym przedziale obok, gdzie można zamknąć ogrzewanie, a kwiaty w ten sposób dojadą świeże do końca podróży. »Przecież wiem, że Niemcy lubią kwiaty i są doskonałymi odgrodnikami«, zakończył grzecznie Janek, »więc jestem pewien, że pan nie zechce, żeby te śliczne bukiety zwiędły tutaj na siano«. To udobruchało grubasa trochę: »No, skoro już i tak tu są«, powiedział, »możemy je ostatecznie lepiej ulokować«. Zabrał poowijane w liczne papiery kwiaty i ułożył je wewnątrz kanapy przedziału obok. »Tu będą miały dobrze«, powiedział do Janka już prawie życzliwie. »Bardzo to ładnie z pana strony«, podziękował mu Janek. »Wie pan, dostałem na drogę dwa pudełka cukierków, dam panu jedno«. Konduktor

bardzo się ucieszył: »Jak to dobrze się składa«, powiedział, »jutro moja córeczka ma konfirmację [1]), zawiozę jej to pudełko. Już dawno cukierków nie było u nas w domu. Co to będzie za radość.

»To pewnie wielka uroczystość będzie jutro u pana w domu?« zapytał Janek. »A tak, ale ja przyjadę już po konfirmacji, dopiero na kawę poobiednią. Bardzo to przykre, ale cóż, służba! A państwo są Polacy?« »Tak«, powiedział Janek, »Mama była na leczeniu w Szwajcarji, a teraz wracamy do Warszawy«. »Warszawa, ho ho«, powiedział Niemiec, »byłem tam tylko między pociągami. Dobre u was jedzenie, ale kawa niegodziwa. To samo mówi mój przyjaciel Franc, Polak«. — »To pan ma przyjaciela Polaka?« zdziwił się bezgranicznie Janek. »A mam« — odrzekł konduktor i jego pyzata twarz oblokła się w lekką zadumę. »To mój dawny kolega, jeszcze z niemieckiego wojska, z Poznania, dobry chłop i wierne ma serce, choć zaszedł wysoko, bo jest w polskiem wojsku majorem, a ja zostałem w prostym stanie«.

W tej chwili Mama zajrzała z korytarza do przedziału i uśmiechnęła się, widząc Janka w dobrej komitywie z opryskliwym konduktorem Niemcem. »Zostań tu Janeczku«, powiedziała, »pójdę na parę minut do restauracyjnego wagonu. Przyniosę ci stamtąd coś dobrego jak wrócę«. »Dobrze, Mamusiu, ja nawet wolę zostać, bo on mówi takie ciekawe rzeczy«, zawołał Janek.

Siedli sobie teraz z konduktorem w korytarzu i zaczęli gwarzyć jak starzy znajomi. Konduktor opowiadał z przejęciem o swoim przyjacielu Polaku. »W wojsku niemieckiem przed wielką wojną«, mówił grubas, »Polakom nie działo się dobrze, popychano ich, poniewierano, a oficerowie sami do tego zachęcali«. »Wiem«, powiedział Janek, »uczyłem się w historji«. „Otóż to“, powiedział konduktor, »wtedy zdawało się nam młodym, że to głupstwo, a teraz trafiło do historji!... Mój Franc i ja odrazuśmy się sobie podobali, strasznie był sprytny i szybki, i doskonały żołnierz, zato ja byłem solidniejszy. Że to mu ciągle przymawiali od Polaka, to taki był zajadły, że o byle co rzucał się z pięściami albo i wprost z czem miał w ręku. Ile się on w ciupie nasiedział przez tę gorącość!



»Franc«, mówię mu, »dajże pokój, to dobre chłopaki, tylko nie umieją żartować delikatnie«. »Ładne mi żarty!« użerał się ze mną Franz. »To on mi będzie mówił: »ty polska świnia«, a ja mam go za to pogłaskać«! »Przecieżeś mu trzy zęby wybił«, powiadam, »oszpeciłeś chłopa na amen: Jak ja ci powiem — ty małpo — to się przecie nie ciskasz«. »To inne, a tamto inne«, powiada Franc. »Tyś mój kamrat, a tamtemu wara!« I ja nie powiem, żeby to było elegancko grubemi wyrażeniami obrażać inne nacje, wiele złości jednak w tych przezwiskach nie było, tyle tylko, że się wiedziało, że się to podoba podoficerom i oficerom.

Dobry był kamrat z Franza. Wojnę zaczęliśmy razem. Strasznie na tę wojnę pomstował: »To ja mam«, powiada, »karku nadstawiać za kaizera! Ani mi się śni. Zobaczysz Willy, jak ja stąd prysnę! No i prysnął z francuskiego frontu, akurat dzień potem, jak pierwszy raz byłem ranny. Dezercja — pewnie, że to nieładnie. Ale co do Franza, ani słowa na niegobym nie dał powiedzieć. Czy to jego była sprawa? Jego kaiser? jego kłótnia z Francuzami? No więc uciekł, ale go złapali — i do fortecy. To myślisz, kawalerze, że już było po nim? Nie na takiego

[1]) U protestantów jest to rodzaj bierzmowania połączonego z rodzajem komunji. Od konfirmacji dziewczynkę uważa się za dorosłą panienkę.



trafili. Po paru tygodniach czmychnął im po prześcieradłach z okna, po sznurach z muru. Szyldwach coś słyszał, strzelił na chybił trafił w fosę, ale zbiega nie złapano. Z trzema od kuli złamanemi żebrami dostał się do Berlina przyczepiony do pociągu z rannymi. Tam jak w dym prosto poszedł do mojej matki.

Dopiero, powiadam paniczowi, — zmogło go — i te żebra i tyfus i zapalenie stawów z wilgoci i chłodu. Co matczysko miało kłopotu! Ale zato był bezpieczny przed policją... Wzięto go za mnie, że niby wróciłem do domu chory. Kiedym wrócił naprawdę na urlop, już wojna się miała ku końcowi, a u nas wszystko się waliło. O jednego mniej czy więcej dezertera nikt nie dbał. Franz — chudy, żółty — już się rwał do Polski... »Teraz tam coś będzie«, mówił. »I bez ciebie będzie«, tłomaczyłem mu. »Przecie sił nie masz. Cóż tam będziesz robił? Zginiesz, jak wesz na kołnierzu«! »I nie zginę i generałem będę«, przechwalał się, aż go matka złajała, że skąd jemu, synowi lakiernika, do wysokich rang. Ale to zawsze była sprytna sztuka, no i dziś jest majorem«.

»Mnie się jednak nie podoba, że zdezertował«, zaoponował Janek. Ale konduktor obruszył się: »Nie mów nic, kawalerze, skoro go nie znasz. A ta ucieczka z fortecy najeżonej w wartowników, a późniejsze przekradnięcie się przez tyle kordonów, a krzyż walecznych, wasz, polski, a Virtuti Militari!... Już jak z szeregowca wyszedł na majora, to przecież nie z braku odwagi«. — »Pewnie, że tak, nie pomyślałem o tem«, tłomaczył się Janek zakłopotany, »ależ matka pana i pan byliście dla niego dobrzy. Bardzo wam przecie musiało być ciężko z rannym«. »Ano, matczysko pewnie że się wysiliło w tych czasach. Ale zato teraz, ile razy Franz przejazdem jest w Berlinie, to w tej chwili wpada do nas. Wyściska matkę, jakby rodzoną, ponaprzywozi jej prezentów, nawypyta się o mnie. No bo ja jestem zawsze w rozjazdach!«

Zamyślili się obaj, konduktor i Janek, potem popatrzyli na siebie, uśmiechnęli się i znowu się zamyślili. Tak ich zastała Mama, wracająca z wozu restauracyjnego z pomarańczą dla syna. Janek rozebrał się milcząc, a kiedy się już znalazł na swojej pościeli, na górnem łóżku: »Mamo«, powiedział wdół, w ciemność: »Niemcy to są wierni przyjaciele«. »Śpij, synku«, powiedziała Mama sennie, »śpij. Co ty możesz o tem wiedzieć!« »Ale Mamo«, mówił dalej Janek, »ty mi pozwolisz dać konduktorowi ode mnie trzy pakiety kwiatów z twoich sześciu. One i tak nie dojadą świeże do Warszawy«. »Daj mu, daj«, powiedziała Mama, »więcej się on wprawdzie ucieszy z pięciu marek, które



dostanie ode mnie. A jeśli chcesz, możesz mu zrobić ten prezent. Niech się Niemiec nauczy, że grzeczność popłaca«.

Nazajutrz rano, skoro świt, Janek dobrał się do przedziału z kwiatami. Mamie zostawił róże herbaciane, mimozę, a olbrzymie pęki bzu, goździków i tulipanów zawinął wszystkie w jeden gruby papier i zaniósł konduktorowi. »To dla córeczki pana, z okazji konfirmacji, od nas«, powiedział.

Konduktor miał pół twarzy w mydle, bo właśnie kończył ranną toaletę. »Herr Jezus... Aber... aber.. Aber...«, prychnął i o mało się nie udusił. »To się ucieszą, to się ucieszą«, powtarzał raz po raz. Wreszcie potrząsnął oburącz ręką Janka. »No«, powiedział, »dziś popołudniu, gdziekolwiek państwo będą, proszę sobie pamiętać, że pomiędzy godziną czwartą a szóstą, cała jedna rodzina w Berlinie będzie piła zdrowie pana i Mamusi. No... no... Herr Jezus«. Tak go Janek zostawił i tak zapamiętał. Potem już było gorączkowe przesiadanie, sadowienie się, jazda przez kraj — od Berlina aż do Kutna — prawie jednolity. Janek to patrzał, to drzemał. Około godziny piątej, zadumanego pogłaskała po zagapionej głowie Mama. „I cóż, synku", powiedziała. „Już te straszne Niemcy są za nami?" „Mamusiu", wygłosił głęboko zadumany Janek, „ja nie wiedziałem, że Niemcy są tacy wierni przyjaciele!" „Co ty w tem masz, synku? Już to drugi raz od ciebie słyszę. Powiedz, co ci się tam troi, czego się tak nagle dowiedziałeś?" I Janek opowiedział... i mamusia zapisała. I stąd tutaj ta historja o konduktorze Niemcu.

Kazimiera Iłłakowiczówna.



Kazimiera Iłłakowiczówna

Wśród licznych dziś nagród literackich największą i najzaszczytniejszą jest nagroda Państwowa, przyznawana rok rocznie pisarzowi, którego »jury« uznaje za najbardziej zasłużonego i najbardziej utalentowanego. W tym roku zaszczytną tę nagrodę zdobyła Kazimiera Iłłakowiczówna.

Jakkolwiek zazwyczaj po przyznaniu nagrody ludzie się „dziwią" temu właśnie wywyborowi, twierdząc, że jest niesłuszny, obecnie orzeczenie sądu nagrodowego przyjął kraj cały z uznaniem. Wszyscy jednogłośnie przyznają, że słusznie i sprawiedliwie nagrodę dostała Iłłakowiczówna, tak, że powiedziećby prawie można, że nagrodę dostała „z plebiscytu" całego społeczeństwa.

„Jury" ogłaszając nagrodę, jak zwykle motywowało swoją decyzję. W tym wypadku oświadczyło, że przyznaje K. Iłłakowiczównie nagrodę za całokształt jej literackiej twórczości, za oryginalność twórczości lirycznej, za bogatą skalę motywów, za wydatne wzbogacenie form metrycznych.

My, czytelnicy, moglibyśmy tę motywację rozszerzyć, a raczej na nasz nieuczony przełożyć język. My cieszymy się, że została wyróżniona poetka, której zawdzięczamy tyle chwil przeżytych w obcowaniu z prawdziwem i rzetelnem pięknem, my wiemy, że dzięki jej poezji odsłonił się przed nami cały świat cudownej złudy, subtelnej fantazji, świat uskrzydlony pięknem słowa; my wiemy, jak często strofami jej wierszy mogliśmy modlić się do Boga, podziwiać piękno naszej ziemi, wypowiadać nasze własne bóle, tęsknoty i marzenia, poznawać niepokoje, trwogi i smutki naszych dusz.

Tak, bo to właśnie jest cechą poezji, poezji prawdziwej, że będąc mową, skargą czy wołaniem duszy poety, staje się mową, skargą i wołaniem całej ludzkości. Poeta w jednym obrazie, w kilku skondensowanych słowach, w słowach ciężkich od znaczenia a lekkich jak skrzydła elfów, umie powiedzieć to, co dręczy i rozpiera nasze nieme dusze, umiejące mówić tylko szarą, nieudolną mową prozy. I dlatego tak bardzo potrzebujemy poezji, poprzez którą wglądamy w nasze zmącone dusze, poprzez

pryzmat której dostrzegamy koło siebie piękno świata, poezji, na której skrzydłach dźwigamy się do Boga. Stąd stosunek czytelnika do poezji jest zawsze tak bardzo emocjonalny i tak bardzo osobisty. Wiersze, które „lubimy", które wyzwoliły z naszej duszy drzemiące w niej, nieuświadomione a dręczące ją uczucia — wydają się nam prawie że naszemi własnemi; mamy względem nich uczucie zazdrosne jakiejś zakonspirowanej między niemi a poetą wspólnej tajemnicy.

I dlatego o poezji takiej jak poezja Iłłakowiczówny, której zwrotki tyle naszych własnych tajemnic wyśpiewały, trudno jest mówić zupełnie objektywnie, zawsze będziemy mieć karygodną preferencję dla tych jej strof, które naszemi się stały!

— — — — — — — —

Kształt świata, który przed nami roztacza Iłłakowiczówna, jest kształtem fantastycznym. W swej przebogatej wyobraźni widzi dokoła siebie poetka rzeczy i postaci, których przedtem nie widzieliśmy. Mówię „przedtem", bo teraz, ja n. p. widzę, widzę już często koło siebie tego wielkiego, groźnego lwa, lwa towarzysza i powiernika, lwa który

ogromny czysty i płowy
śpi na czerwonej kanapie.

tego lwa, którego

...grzywy splątaną pozłotę
W szesnaście twardych, ścisłych warkoczy
[zaplotę!

Teraz już każdy, który w męczące szare godziny życia wychodził ze siebie na skrzydłach strof Iłłakowiczówny, będzie widział, jak koło niego krążą i tańczą na czarodziejskich słowach

... koty fantastyczne,
kudłate, wierne psiska, jeże, ptaki śliczne,
kolorowe dzięcioły, niezgrabne wronięta,
gąsienice chowane pod szybą, wąż miły,
salamandry, co same z okna wyskoczyły!...

Każdy, omotany nudną szarzyzną dnia powszedniego, nudą monotonnej roboty, będzie już zawsze miał wrażenie, że

przebiera piasek miałki z makiem zmieszany
[pospołu,

że

przebiera piasek i mak dla strasznego karła,

podczas gdy

w kwitnieniu zboża wiosna nieznana umarła...

Ponieważ trudno zmienić swój stosunek emocjonalny do poezji, którą się lubi, która bierze i wzrusza, mówiąc o Iłłakowiczównie wracam zawsze mimowoli do tego tomiku, który mnie urzekł przed laty swym czarem, tęsknotą, prostotą, do zbiorku „Śmierć Feniksa" i już zawsze we wszystkich jej wierszach szukam tej „mojej Iłłakowiczówny", która świat oplata tęczową przędzą baśni, wyczuwa smutny, bolesny rytm życia i wyłamuje się z niego pieśnią miłości i modlitwy. I odnajduję ją często. Bo Iłłakowiczówna jest poetką, która pisze prawie zawsze z wewnętrznej potrzeby pisania t. j. wtedy, gdy nagromadzone w jej sercu uczucia same mową wiązaną ujścia sobie szukają. Dlatego jej wiersze, z nielicznemi wyjątkami, drgają jakąś wewnętrzną szczerością, uczuciem bezpośredniem i biorącem.

Czasem z uśmiechem błyszczącym łzami opisuje nam ojczyznę

troski pełną i niewygód
wschodem pachnącą pod północnem niebem...

w której

...nawet dzieci idące do szkoły
biadają, że z walutą krucho będzie,
a za straganem głośno radzą baby,
że masło spadło, bo rząd jest za słaby,

a która jednak jest »*skarbem i złotem*«.

Czasem olśniona patrzy jak

ulewa z błyskawicami
mrok biczuje srebrnem i biczami.

Czasem w zadumie spogląda w »obłędny wzór skrzydlatych gwiazd«, czasem zmęczona i słaba klęczy przy »rannym pacierzu« i modli się bolesnemi słowami:

Weź krzyż odemnie, bo dzień każdy od
[krzyża — chory,
weź go i postaw między Twe gwiazdozbiory,
między Skorpjonem, Łucznikiem i Lwem!..

Iłłakowiczówna często wierszami swemi się modli.

Poetka widząca piękno przebogate świata, znająca słodycz i moc ludzkiej miłości, wie jednak, że nad tą bogatą symfonją ludzką jest rozpięta:

Wiary słodycz niby skrzypiec solo
ponad ciszą orkiestry...

Wie, że

Jest ktoś, kto słyszy i jest ktoś, kto czuwa,
W ogromnych skrzydłach stojący na straży

i przed tym Bogiem klęka z prostotą i w pokorze:

przed ołtarzem sławionym cudami,
kiedy pomrok się czołga i ściele,
pod kolumnami.
Chcę wybłagać opiekę i łaskę
pokornemi, cichemi słowy
u Dziewicy, co złotą przepaskę
ma wkoło głowy.

Daleko odbiegliśmy od orzeczenia jury — »za wzbogacenie form metrycznych«. A jednak... jednak, gdyby właśnie nie to bogactwo, gdyby nie doskonałość form metrycznych, Iłłakowiczówna nie byłaby poetką! Może wielu z nas »mruczących prozą« ma te same co ona tęsknoty, bóle, niepokoje, może podobne snują się po naszej wyobraźni lwy i ptaki, ale poetką jest Iłłakowiczówna jedynie dlatego, że te swoje wizje i odczucia umiała zakląć w doskonały kształt słowa, że dla tych swoich nieukojów potrafiła znaleść poetycką formę! »Mnie pieśnią bije, krew« powiada poetka, krew jej bije pieśnią, a posłuszne słowa wiążą się w kunsztowną budowę strof, w melodję tercyn, płyną muzyką, zazębiają się rymem. I dlatego właśnie, że w posłusznem sobie słowie umiała wykuć doskonałą formę poetycką, stała się wyrazicielką tego, co w nas tkwi mętne, płynne i niewypowiedziane. Dlatego, że dla bogactwa swojej wewnętrznej wizji, dla wzlotów swojej duszy umiała znaleźć formę nową i doskonałą, dlatego jest i pozostanie zawsze wielką polską poetką.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

WSPOMNIENIE

Ciemna ławka — ciasna, niewygodna,
wyplamiony atramentem pulpit,
duże okno — plamka nieba modra,
lekcje nudne, strasznie ciężkie smutki —
na pulpicie czyjeś inicjały
scyzorykiem krzywo wyskrobane,
pierwsze próby w poezji nieśmiałe
za okładki książek pochowane —
pióro w dłoni, ciche „Eneidy“,
na kolanach „cudowne“ romanse,
takie cudne, jak już potem nigdy,
że zostały w pamięci na zawsze...
Opadają gwiazdy złotym piachem
na dziecinne oczy wierne złudom,
błądzą stopy po ogromnym gmachu,
błądzą myśli nieuległe uzdom...
Boże! Boże! ile śmiesznych tęsknot
rosło w sercu niezmiernie czującem...
jaką pieśnią śpiewało zwycięską
przez klasztorne okno patrząc w słońce!...
Były wtedy pragnienia motyle
i przyjaźnie do „grobowej deski“,
biegły dusze na tajemny wyląd
drogą w dziwne zygzaki i kreski.
Zanim serce doreszty ochłonie,
daj mi, Boże, dzień taki powtórzyć:
wstać od świtu na srebrzysty dzwonek,
potem — na mszy — oczy sennie mrużyć,
na algebrze umierać ze strachu,
kochać polski — francuski — historję —
znów oddychać dzieciństwa zapachem
i przeżywać buntownicze spory...
Daj mi, Boże, choć na chwilę krótką
wiarę ślepą miłowaniem,
wiarę szaleńczo rozrzutną,
wiarę radosną bez granic — — —
Potem — potem — potem —
pójdę w życie spokojnie, bez żalu,
tylko przeżyć raz jeszcze kłopoty
pensjonarki w marzeń futerale.
Tylko odczuć dawną, żywą mocą
urok życia smugą przewidywań
i nie pytać się dlaczego?... poco?...
lecz zatonąć w dziecięcych modlitwach.

Barbara Marcinkowska-Buderowska.

PIERWSZA LEKCJA CHARIKLESA (dokończenie)

— A widzisz — odrzekłem, czując, że nie dam się temu mądrali zjeść w kaszy — a teraz zważ jeszcze jedno: jeżeli byliśmy waszymi uczniami, to bardzo pojętnymi, tak bardzo, że przewyższyliśmy naszych mistrzów. Bo, jak się przekonywam, wy, Fenicjanie, narówni z innymi Semitami, nie posiadacie zupełnie samogłosek, a to jest wielkim brakiem. My je wprowadziliśmy do naszego alfabetu. Po drugie, pismo wasze ma jeszcze jedną cechę, spotykaną u wszystkich Semitów: piszecie od strony prawej ku lewej, wskutek czego zasłaniacie sobie ręką to, co napisaliście. Coprawda, i my mieliśmy z początku ten zwyczaj za waszym — jak się okazuje — przykładem. Ale powoli odstępowaliśmy od niego. Jakiś czas pisaliśmy naprzemian jeden wiersz od prawej ku lewej, następny od lewej ku prawej i t. d. Podobne to było do drogi, jaką odbywa wół, orząc rolę. Dlatego nazwaliśmy to pisanie »wolemi bruzdami« (*bustrofedon*). Ale teraz piszemy już tylko od lewej ku prawej — i to jest najpraktyczniejsze. Dlatego nasze Γ (gamma) odpowiada waszemu ˥, nasze P (ro) waszemu 4 i dlatego dawne ᗺ ma obecnie kształt B. Widzisz więc, że nie zmarnowaliśmy otrzymanego od was daru, ale go jeszcze ulepszyliśmy.

Przerwał nauczyciel swe opowiadanie i spojrzał po błyszczących zainteresowaniem oczach chłopców. Posąg Muzy zdawał się uśmiechać do tych młodych Greków, którzy zaczynali smakować w wiedzy i mądrości. Charikles zapomniał o palestrze, oczarowany rozumem nauczyciela. Patrząc na niego i na jego tabliczkę, zapytał cicho:

— A więc nauczysz nas, panie, tych cudownych znaków pisma?

— Nauczę, Chariklesie.

— I będziemy pisali rylcem na takich nawoskowanych tabliczkach?

— Będziecie. I może nie tylko na tabliczkach. Niejeden z was zapewne wyrośnie na wielkiego poetę, męża stanu, prawodawcę... Wówczas te poematy i te ustawy, które wypadnie wam pisać, nie zmieściłyby się napewne na takich małych tabliczkach. Będziecie więc używali papyrusu.

— Czego?

— Papyrusu, powtarzam. Kiedy byłem w Egipcie, widziałem przy brzegach wielkiej rzeki tamtejszej Nilu, całe gąszcza pewnego sitowia, zwanego właśnie papyrusem. Z łodyg tej rośliny wyrabiają Egipcjanie od niepamiętnych wieków cienkie karty, na których się pisze, oczywiście nie ryclem, lecz kawałkiem trzciny, na końcu zaostrzonej i rozczepionej; do pisania macza się ją w cieczy, nasyconej sadzą i gumą. My przyjęliśmy ten zwyczaj od Egipcjan i oto patrzcie!

W tej chwili zdało się chłopcom, że fałdy chlamydy nauczyciela są jakimś czarodziejskim skarbcem, kryjącym coraz nowe dziwy. Bo oto *grammatistes* wydobył z nich spory zwój i rozwinął go przed swymi słuchaczami.

— To jest, widzicie, zwój papyrusu, tak zwany *tomos*. Składa się z posklejanych brzegami kart i zawiera kilkaset pierwszych wierszy „Iljady". Na tem będziecie się uczyli czytania. Bo grzechem byłoby czerpać pierwociny wiedzy ludzkiej z innego źródła, niż z naszego nieśmiertelnego Homera.

Nauczyciel skupił dokoła siebie gromadkę i wskazując na pierwszy wiersz, zaczął powoli czytać wśród uroczystej ciszy: ΜΗΝΙΝ ΑΕΙΔΕ ΘΕΑ (menin aejde thea)...

— Ta pierwsza litera, to „mi", druga...

Kiedy Charikles po parogodzinnej lekcji szedł ze szkoły do palestry uszczęśliwiony zdobytemi dzisiaj wiadomościami, rozmyślał nad opowiadaniami nauczyciela, nad jego rozmową z mądrym Fenicjaninem.

— Jak myślisz, Lykonie, — rzekł wreszcie do opiekuna — czy nie może się zdarzyć, że my, którzy zawdzięczamy sztukę pisma Fenicjanom, skolei użyczymy tego daru innemu narodowi?

Mie umiał stary sługa odpowiedzieć na to pytanie. Ale odpowiedziała Chariklesowi historja. Bo od Greków przejęli alfabet ich uczniowie, Rzymianie i przetworzyli go na własne abecadło łacińskie. A po Rzymianach odziedziczyliśmy je, wraz z całą kulturą łacińską, my Polacy, przednia straż tej kultury na wschodzie.

Ignacy Wieniewski.

(Utwór ten, przeznaczony do czytanek Balickiego i Maykowskiego jest własnością Zakładu Narodowego im. Ossolińskich).

KARNAWAŁ

Karnawał!

Przyszedł już... Zaczął się... Jest!

Migają kolorowemi światłami lampjonów duże kawiarniane szyby, dolatuje dźwięk orkiestry, ulicami mkną mimo późnej godziny liczni przechodnie, sygnalizują gwałtownie mechaniczne pojazdy...

Karnawał tętni pierwszemi godzinami swego istnienia... Natrętną kakofonją ekscentrycznych melodyj tanecznych przewierca słuch, omdlewającym rytmem walców przewija się serpentyną dni karnawał długi, jednakowo monotonny tytułami krzykliwych plakatów: »Zabawa«, »Reduta«, »Bal«...

Życie ma to do siebie, że chce gwałtem uciec od szarzyzny dni codziennych, kipieć wartkim potokiem nowych zamysłów i poczynań, pragnie urozmaicenia i różnorodności wrażeń.

Karnawał! Ileż ponęt i uciech kryje w sobie to jedno słowo! Ile miraży złudnych, kruchych jak bańka mydlana, wiotkich jak nici pajęcze...

Ile przesytu i niesmaku, żalu i dumań niewesołych zostawi w spadku jedna i druga, dziesiąta przetańczona, nieprzespana noc...

Ile spóźnionych refleksyj i czczych dociekań rzucą kinkiety hucznych i gwarnych sal ziejąc długo pytaniem: po co i dla kogo?

Po co?! — Zabawne!

Żeby wyszaleć i wytańczyć, zapomnieć na czas jakiś o wszystkiem...

Dla kogo? Dziecinna naiwność!

Dla samego siebie! Tylko i przedewszystkiem dla siebie!

Melodja łka echem wspomnień, smugi reflektorów ślizgają się jak duchy po twarzach — spływa deszcz confetti — wiją się serpentyny...

Opar dymu tytoniowego zmieszany z mdłym zapachem perfum i wonią alkoholu oszałamia i nuży...

Ciszy szept, westchnienie, niedopowiedziane słowo — niezdrowa atmosfera podniecenia i pseudoradości.

...A potem blady świt, zaśmiecona sala taneczna, pożółkła twarz, podsiniałe zmęczeniem oczy, stracony dzień i ten dziwny wstręt do wszystkiego, niechęć, ociężałość...

A na świecie tyle nędzy i łez, tyle bólu i skargi serdecznej, tyle troski o gorzki, codzienny chleb...

...Tam taniec wre opentańczym wirem ciał — niedaleko w ubogiej izdebce płaczą zziębnięte i głodne dzieci biednej wyrobnicy.

...Ulatują wgórę kolorowe baloniki — a w nędzy kona żona i matka w lichej norze suteryn...

...Wiją się serpentyny — i krwawym śladem cierpienia wije się ludzki ból — cichy, bezbrzeżny, ogromny...

Karnawał — wre...

Stefan Krasiński.



Wyprawa turystyczna w Tatry Zachodnie — Wejście na długi upłaz.

NARTY

Mroźny podmuch, wyiskrzona dal!
Jak okiem sięgnąć biało i puszysto...
Cisza... chwieją się wierzchołki sosen,
Coś gadają, chylą się ku sobie...
Strome zbocze gwałtownie opada,
Naga krawędź,
Skaliste urwisko,
Przepaść...
W uszach jeno świszczy...
Drążki silnie uściśnione w dłoni,
Szal rozwiany,
Wicher ślady goni,
Prześciga pęd, chichotem się zrywa,
Słabnie, zostaje wtyle...
Skronie tętnem walą,
Oddech rwie się, bije serce młotem...
A promienie słoneczne tak palą!
Wyrwa, wiatrem omieciona z śniegu,
Krzak tarniny, szałas, wszystko miga...
Skurcz w kolanach... przysiad... skok szalony...
Wdole wszystko kręci się jak fryga,
ucieka wbok...
Tam — niżej, biało rozpostarty
Całun śniegu, znaczony bruzdami...
jak ptak lecisz...
Dosięgły wreszcie śniegu narty!

MRÓZ

...Lodowemi kwiatami lśnią szyby,
Szparą okna wpada zimny wiatr...
W termometrze rtęć skrzepła u dołu,
Stężała...
Gdzieś od Tatr
Dmie szaleńczy wicher i pali
Jak ogień...
Skrzypi głośno pod stopami śnieg
Zwarty i twardy...
W sino-białej dali
Hula tuman — wiruje, przysiada...
Kroki ludzi już przechodzą w bieg —
Tętnią głośno stukotem chodniki,
Prędko, prędzej — byle dobiec już!
Przeraźliwie zawodzi kołami
Wlokący się wóz —
Cieśń ulicy niemal całkiem pusta,
Na policzkach siada szkarłat róż,
Sroży się, sroży mróz...

Stefan Krasiński.

PRZED BALEM

Równania, daty, wzory, łacińska klasówka,
zebranie samorządu i nawet algebra —
(niedostateczny stopień na cenzurze)
marzenia, wyrażone w uśmiechach, półsłówkach,
przestały nagle istnieć, jakby je kto urzekł...
Tak trudno rozpierzchnięte nagle myśli zebrać!
Tyle nowych zagadnień! – Fiołki wpiąć czy róże?
Czy to da się przerobić, czy też czego nie brak?
I co będzie ładniejsze — falbanka, czy bufka?...
Wszystko chciałabym sama: do stołu nakrywać,
przygotować „kanapki", sama pączki smażyć—
Ta niecodzienna cieszy mnię robota.
Nie chcę słyszeć o żadnych troskach i kłopotach.
Czekam na coś miłego, co się musi zdarzyć.
Od szarych, kryzysowych myśli odpoczywam.
Pozwalam się natrętnej melodji omotać
i strojąc salaterkę w krążki barwnych jarzyn,
jestem uradowana, beztrosko szczęśliwa!...
— — — — — — — — —

Al. Kwiecińska.



Jan Rykała. Obłoki nad szczytami (obraz olejn

PRZEDZIWNE MIASTO

Długim mostem, zwanym »Ponte della Laguna« wjeżdża pociąg do Wenecji. Jest godzina przedpołudniowa i promienie słoneczne rozlewają się obficie, rzucając wspaniały refleks na błękitne fale. Bezmiar morza z jednej i drugiej strony, a pociąg mknie środkiem. Za chwilę znika to piękne zjawisko. Jesteśmy na dworcu. Przeraźliwe krzyki tragarzy głuszą wszelką rozmowę. Po długich targach decydują się odwieźć nasze bagarze gondolą do hotelu przy placu św. Marka. I oto walizki jadą romantycznie gondolą, a my zupełnie nowocześnie »vaporettem« czyli małym parowcem, których mnóstwo kursuje po kanałach weneckich. Zastępują one tramwaje.

Pierwszem wrażeniem podróżnika, który znalazł się w weneckiej ulicy, jest kompletna niewspółczesna cisza. To nie spokój naszego małego miasteczka, wynikający z tego, że »nic się nie dzieje«. Ruch tam jest duży, bo i duże skupienie ludzkie. Ale brak naszych hałaśliwych środków lokomocji: niema tam żadnego auta, motocyklu, a nawet wozu końmi zaprzężonego. Wszak cała komunikacja odbywa się na kanałach, gdzie rozlegają się tylko gwizdy parowczyków-tramwajów.

Niema więc w Wenecji owego nerwowego pośpiechu i lęku. jakie trapią przechodnia, uciekającego w obawie przed pędzącym pojazdem.

Nic dziwnego, że ten przybytek dystyngowanej ciszy wybierają często dyplomaci, jako miejsce rendez-vous politycznego: wszak Mussolini i Hitler w Wenecji niedawno ze sobą rozmawiali...

Nazwałam wenecką ciszę dystyngowaną. Muszę jednak wpierw zaznaczyć, że jak każde miasto, tak i Wenecja ma swoje blaski i cienie.

Do tych cieni należy szpecąca niektóre ulice bielizna, którą Wenecjanki wywieszają z okien. Boczne kanały są bardzo wąskie, wskutek czego łatwiej wysychają, wydzielając niemiłą woń. Znam osobę, która swą najsilniejszą impresję z Wenecji ujęła w słowa: »Tak brudno!«

Owszem, przyznaję, że niektóre zaułki są brudne — lecz któreż miasto nie ma takich? Zwłaszcza miasto tak leciwe, jak Wenecja!

Cóż jednak znaczą te drobiazgi wobec wielkiej, arystokratycznej sztuki zaklętej w ścianach weneckich budynków?

Sercem miasta jest Plac św. Marka, w koncepcji architektonicznej wzorowany na rzymskiem forum. Cały plac wyłożony kamienną mozaiką w gustowny wzór, robi wrażenie posadzki olbrzymiego salonu, którego ściany zbudowano ze zgrabnych kolumienek. Od strony zachodniej zamyka plac słynna bazylika Św. Marka w stylu bizantyńskim, wzorowana na konstantynopolitańskiej świątyni św. Zofji, a tuż obok niej nęci oko przepyszny Pałac Dożów, zawierający w swem wnętrzu cenne pamiątki »złotego wieku« miasta lagun. Z balkonu tego pałacu roztacza się piękny widok na wyspę św. Jerzego z kościołem tegoż imienia.

»Most Westchnień« łączy pałac z więzieniami, w których zachowały się olbrzymie lochy, pamiętające niejedną ofiarę twardej ręki dożów.

W błyskawicznem tempie pracuje myśl i wyobraźnia. Na chwilę zapominam rachuby wieków i przenoszę się w daleką przeszłość...

Piesza wędrówka po Wenecji jest źródłem oryginalnych wrażeń. Ulice bardzo wąskie zapełnione są straganami. Pomarańcze leżą całemi stosami. Są bardzo tanie i sprzedaje się je na kila.

Drugą osobliwością włoskiej ulicy są dzieciaki. Mnóstwo ich — a prawie wszystkie drobne, czarne, brudne i ruchliwe. A przytem natrętne. Na placu przy kościele »San Giovanni a Paolo« otoczyła nas ogromna chmara dzieci, wyciągających ręce — poprostu żebrzących. Słyszałam, że ostatnio Mussolini walczy zawzięcie z żebractwem dzieci i poleca czuwać młodzieży nad tą sprawą.

Istotnie w chwili, kiedy »Prego, Signorina, prego« — zaczęto dochodzić do fortissimo — w rozkrzyczany tłum wpadło dwóch starszych chłopców i energicznie rozpędzili malców. Dwóch jednakże przyplątało się z nami. Kiedy już wyczerpały się wszystkie sposoby prośby o datek, zaczęli wybiegać

o kilka kroków naprzód i — niczem linoskoczki — wywracać na środku ulicy koziołki.

To wreszcie poskutkowało. Rozbawili nas i dostali upragnione centimy.

Chcąc skrócić sobie drogę zaszłyśmy w wąski zaułek, wiodący tuż nad jednym z bocznych kanałów. Znajdują się tam wielkie hurtownie win z olbrzymiemi beczkami, pełnemi tego nektaru południa.

Spragnione po całodziennem bieganiu wstąpiłyśmy, by wypić choć po jednym hauście. Ale skończyło się na dużych szklankach, wychylonych prawie »duszkiem«. Pozatem zabrałyśmy na dalszą drogę kilka butelek zwyczajem włoskim zręcznie oplecionych.

* * *

Z okna hotelu spoglądam na usypiające miasto. Nad „Canale Grande" wyszedł księżyc otulając świat stalowemi blaskami. Z ciemności wynurza się sylwetka bazyliki św. Marka. Na środku placu sterczą dwa olbrzymie maszty z chorągwiami żałobnie opuszczonemi. Mówili dziś Wenecjanie, że zmarła jakaś krewna królewska...

Król. Z historycznem tem słowem splata się w dziwnie harmonijną całość, cudny obraz weneckiej nocy. Zdala dochodzi gwizd odjeżdżającego „vaporetto". Jedyny ślad nowoczesności w średniowiecznym niemal grodzie.

Wyobraźnia zapełnia renesansowemi postaciami pusty plac, oświetla tysiącem kandelabrów uśpiony pałac dożów i otwiera zawarte podwoje bazyliki dla karnawałowego orszaku ślubnego...

* * *

Ze szczytu wysokiej »Campanilli« wzniesionej u wylotu Placu św. Marka widać »jak na dłoni« całą panoramę Wenecji. Ująć można stamtąd dokładnie jej kształt podkowy ułożonej dokoła podłużnej zatoki. To północna strona. A z drugiej strony roztacza się daleki, bezmierny widok na srebrno błękitne morze, na którem słońce wymalowuje najsubtelniejsze refleksy. — I wyspę San Giorgio ze smukłemi wieżycami kościoła.

Ostatnie wejrzenie na promienne miasto...

Po chwili jadę już vaporettem na dworzec. Droga wiedzie jeszcze przez całe »Canale Grande«. Nad tym głównym »traktem« wodnym Wenecji rozsiadły się najwspanialsze zabytki budownictwa prywatnego z bujnych czasów miasta. Renesansowe pałacyki dożów są prawdziwemi cackami architektonicznemi. Każdy z nich wykończony i wypracowany precyzyjnie. Dziś przeważnie zostały zamienione na budynki publiczne, jak Akademję Sztuk Pięknych, Sąd Apelacyjny, Ratusz, banki i t. p.

Mijamy trzy słynne mosty, przerzucone nad kanałem: »Ponte di ferro«, »Ponte di Rialto« i drugi »Ponte di ferro«. Kończy się wstęga ciemnozielonej wody — vaporetto staje przy dworcu, którego mury zakryją wkrótce ostatni widok bajkowego miasta.

Przez zieloną Toskanję i Umbrję mkniemy na południe w oczekiwaniu Wiecznego Miasta.

Wenecja zostawiła w wyobraźni jasną, promienną plamę — pogody i piękna.

Zofja Karczewska.

ZE SCENY KRAKOWSKIEJ.

Z wystawionych dotychczas sztuk w teatrze im. Słowackiego zainteresowała mnie bardzo komedja satyryczna L. H. Morslina p. t. »Rzeczpospolita poetów«. Sam temat sztuki ciekawy, potraktowany z pewną ironją, ale nie brak też momentów poważnych i zastanawiających.

W pierwszym akcie, zapoznajemy się odrazu z grupą młodych poetów, których duchowym przywódcą jest Tuslew. Marzeniem jego, to możność zrealizowania szczytnych ideałów; pragnie bowiem przyjść z pomocą nieszczęśliwej ludzkości, chce jakiegoś raju na ziemi, gdzie wszyscy ludzie żyliby nieskrępowani żadnemi prawami, kochając się idealnie. Tuslew nie przypuszczał nawet, że już jest u progu szczęścia, bowiem jak na zawołanie zjawia się posłanka rewolucji, która właśnie wybuchła w Warszawie. Posłanka wzywa Tuslewa do czynu, ma on objąć w Polsce naczelną władzę. Rzeczywiście poeci ujmują ster rządów w swoje ręce i przeprowadzają gruntowne reformy. Usuwają słowo »państwo«, które według Tuslewa nic nie oznacza, a miast niego wpro-

wadza się terminy inne: naród, ludzkość. Aby nic nie krępowało wolności człowieka zniesiono wszelkie prawa i instytucje n. p. szkoły. Podobny los czeka wojsko, które w narodzie nieuznającym wojny ani rozlewu krwi, jest zbytecznem. Jednym zamachem rozwiązuje się problem, nad którym napróżno łamie sobie głowę Liga Narodów, problem rozbrojenia: trzeba poprostu... wystrzelać w powietrze amunicję. Przykład Polski podziała także na inne państwa i Liga Narodów może spać spokojnie. Tak mówi Tuslew. Ale nie wszystkim poetom podoba się to przedsięwzięcie. Najbardziej trzeźwy z nich zapytuje, co będzie, gdy nie wszyscy pójdą za zbawiennym przykładem?

W tym stanie rzeczy rządy poetów utrzymać się nie mogą. Zbliża się katastrofa. W Polsce wybucha rewolucja i tym razem skierowuje swe ostrze przeciwko poetom. Kule rewolucjonistów wpadają do sali narad. Sytuacja staje się groźną. W rządzie zamieszanie. Tuslew, mimo błagań poetów, nie chce odstąpić od swego raz wytyczonego planu; czuje jeznak, że szedł błędną drogą. Gdy zjawia się matka, której syn padł w rozruchach i pragnie jak mściwa Erynja wydrzeć Tuslewowi serce, zdaje się nam, że to już zupełny upadek poety. Ale nie! Jest ktoś, kto się nim opiekuje od kołyski i nie da marnie zginąć, jest to Melpomena. Ona to w ostatniej chwili przychodzi w pomoc poetom. Tak się przedstawia mniejwięcej treść komedji.

Jest to bezwątpienia satyra, co sam autor zresztą zaznaczył w podtytule.

Jakkolwiek więc możemy się śmiać razem z autorem, to jednak musimy przyznać, że cel, do jakiego dąży Tuslew, jest najlepszy; tylko do dobrego celu obrał złą drogę. Usuwa »państwo« ze swego słownika, które to pojęcie jest ścisłe i ograniczone i wyraża właśnie wiele. Rozkazuje zniszczyć amunicję i »rzucić bronią o bruk« — ale sam przecież w chwili, gdy go napadają woła: »dajcie mi karabin, będę się bronił!« Niestety! »karabin na bruku«.

Komedja Morslina nie jest »rasową«, trzeba nad nią trochę pomyśleć, a publiczność przeważnie myśleć w teatrze nie lubi. Zarówno formą zewnętrzną (wiersz komedji niezwykle udany), jak sposobem łączenia dwóch światów: realnego ziemskiego z mityczno-baśniowym, sztuka ta przypomina dramaty Wyspiańskiego. Trzeba pamiętać o tem, że Morslin należy do tych pisarzy dramatycznych naszej doby, którzy nie zadawalniają się banalnym schematem, lecz szukają nowych dróg. Z powyższej komedji widać, że Morslin idzie po linji dramatów Wyspiańskiego. Według mnie droga jaką obrał p. Morslin jest dobrą, sztuka robi duże wrażenie i daje wiele do myślenia.

Gorące brawa otrzymał dyr. Juljusz Osterwa kreujący rolę Tuslewa. Nie było w jego grze ani jednego niepotrzebnego gestu czy spojrzenia.

Z pozostałych poetów, wysunął się na czoło p. Karbowski, jako Gauden, świetny kontrast Tuslewa. Mniej udane były poetessy. — Pani Szyjkowska jako Chimera była bardzo ciekawą i niesamowitą, jaką winna być istota ze świata ułudy. P. Jaroszewska ratowała Tuslewa jako Melpomena. — Wspaniałym, z krwi i kości, góralem, jak gdyby żywcem zdjętym z drzeworytów Skoczylasa był p. Burnatowicz. Dobrą kreacją była też męcząca rola idjoty w interpretacji p. Straszewskiego. Staranne dekoracje dostosowane były w zupełności do atmosfery sztuki.

Podobno komedja nie będzie już powtarzaną, a szkoda, bo warto, by ją starsza młodzież zobaczyła. *Celina Klimczakówna.*

W kościele

Przez witraże tęczowe — niebieskie — żółte
[i czerwone
wpada promień słoneczny, w biegu zwiotrzały
[i marny.
Łączy wątłem pasemkiem złocistego kurzu
Tabernaculum najświętsze z zwiędniętą, pochy-
[loną różą;
potem dążąc i sunąc dalej
przeciska się przez kratki w konfesjonale
i połamany — ostatnim wysiłkiem
pieści spłakane oczy leciutkim dotykiem.
Bóg — róża — konfesjonał i oczy moje —
[złączone promieniem
świecą aureolą modlitwy, gdy kościół zatapia
[się w cieniu.

B. Marcinkowska — Buderowska.

Jutro

dział samodzielnie przez młodzież redagowany

NA ZAMKU

Dnia 30 kwietnia 1932 r. wyjechałyśmy z Lublina do Warszawy na Zjazd wszystkich kół krajoznawczych z całej Polski. Jedną z atrakcyj Zjazdu miało być przyjęcie u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, na Zamku. Jako ciekawe świata i wszelkich znakomitości, byłyśmy zainteresowane wyglądem Pana Prezydenta. Nic też dziwnego, że idąc na Zamek, uczuwałyśmy lekki strach i pytanie: »jakto tam będzie« — nie dawało nam spokoju. Weszłyśmy do wspaniałej sali na Zamku, jednak nie było czasu na zachwycanie się jej pięknością, gdyż wszedł Pan Prezydent. Nigdy nie zapomnę tego wrażenia, jakie wywarła na mnie wysoka, szlachetna postać największego Dostojnika Polski. Łagodne, rozumne oczy przesunęły się po morzu głów. Pan Prezydent powitał Zjazd wyrażając radość z tak licznej obecności kół, a następnie poprosił nas na herbatkę urządzoną na Zamku. Niewiele mówił, jednak Jego obejście było tak miłe, że starałyśmy się pobyt przedłużyć w nieskończoność.

Gdy skończyło się przyjęcie, długo widziałam przed sobą łagodnie uśmiechniętą twarz Pana Prezydenta Mościckiego.

Dziś, gdy minęło już kilka lat od Zjazdu, wspomnienie to odżywa i zdaje mi się, że to było tak niedawno.

A miłe chwile przyjęcia na Zamku zostaną w mej pamięci na całe życie.

Irena Szkałabianka VII kl. SS. Ursz. Lublin.

PAN PREZYDENT W GDYNI

Przyjazd do Gdyni Pana Prezydenta zapowiedziany był na dwa dni przed „Świętem młodzieży". W tym samym dniu, o godz. 1-szej w południe, zatelefonowała do mnie M. Przełożona i powiedziała mi, żebym za godzinę, w pełnym „urszulańskim rynsztunku" stawiła się w Komisarjacie Rządu, aby wręczyć kwiaty Panu Prezydentowi. Co za radość!

Tymczasem okazało się, że biały marynarski kołnierz nie był przygotowany na tak wielki zaszczyt jak ujrzenie na „własne oczy" Pana Prezydenta i o zgrozo... nie był zupełnie czysty. Trzeba więc go było nagwałt prać i prasować. A białe rękawiczki! Jeszcze jeden brak! To okropne! Za godzinę muszę być gotowa! Ale i na to jest rada. Pędzę do sklepu i za chwilę wracam jako szczęśliwa posiadaczka białych rękawiczek.

Wreszcie jestem gotowa i jadę do Komisarjatu, a stąd razem z wszystkiemi gdyńskiemi osobistościami na Oksywie, do willi kontradmirała Unruga, w której miał zamieszkać Pan Prezydent z żoną. Tutaj ustawiono w dwuszeregu oddział marynarzy, orkiestrę marynarki wojennej i straż honorową.

Ponieważ przyjazd Pana Prezydenta był bardzo opóźniony, zdążyłam się nauczyć słów powitania, które mi napisał pan redaktor de Erceville.

Nagle ujrzałam na zakręcie samochód z białym orłem. Serce zabiło mi ze wzruszenia. Marynarze zaprezentowali broń, orkiestra zaczęła grać „Jeszcze Polska nie zginęła". Pan Prezydent wyszedł z auta i przeszedł przed szeregiem marynarzy z swoim miłym uśmiechem na ustach. Stałam na baczność, wyprostowana, z olbrzymim bukietem róż w ręku i czekałam, aż Pan Prezydent się zbliży. Wreszcie nadeszła ta chwila! Wystąpiłam i ze słowami: „Panie Prezydencie! w progach polskiego wybrzeża, racz przyjąć kwiecie w imieniu tego pokolenia, które stoi u progu mocarstwowej Polski", wręczyłam kwiaty Panu Prezydentowi, który uśmiechnął się, podał mi rękę i powiedział: „dziękuję bardzo". Bardzo podobał mi się ten uśmiech Pana Prezydenta, był taki ogromnie miły i przyjemny i utkwił mi głęboko w pamięci. Gdy wróciłam do domu, był już wieczór. Długo jeszcze myślałam o wydarzeniach ubiegłego dnia.

Kama Flisowska. ucz. kl. V. g. SS. Ursz. w Gdyni.

Przeszłość i teraźniejszość

Dziś! dziś! dziś! — Rozsunęły się przed nimi za ciasne ściany małego dworku. Wpadli jak śnieżny tuman, zapruszyli oczy purpurą i błękitem kontuszy i na skrzydłach muzyki polecieli wdal.

Panie w lewo — panowie w prawo — ukłon — za pierwszą parą — ukłon królewski panie pod szpadami. Żółte buty lekko skrzypią — karabela chrzęści — panie pod szpadami — podziękowanie.

Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy — krok za kroczkiem — czy to kuranty grają przesłodką jakąś melodję, czy to orkiestra ukryta w wiejskiej altance? menuet — czyjeś czarne oczy, biała peruczka i słodki, mdlący zapach piżma — białe koronki i różowy kielich krenolinki.

Jak słodko kołysze walczyk w tę noc — walczyk w tę noc. Przeginają się duże pasterskie kapelusze, długie majteczki z koronką, jak serduszko dzwonka oplecionego na drucianem kole. Czarne faworyty, obcisłe spodnie i tyle miłych i serdecznych słów partnera. Z okrągłej estrady przemawia cichym, urocznym językiem Strauss.

Jękliwy ryk saksofonu — pisk skrzypiec — łomot fortepianu. Wyblakły dyrygent z czarną tubą śpiewa: »Czy wierzysz mi« (wierzę, byleś przestał śpiewać!) Czarne smokingi na wychudłych ramionach — wycięte suknie i silny, mdły zapach perfum. Świetliste blaski fałszywej biżuterji i oczu ożywionych szampanem. Ciasno — tłok — duszno — nikt do siebie nic nie mówi — tylko nogi lekko wygięte.

Dawniej tańczyli raz w rok, w karnawale — dziś tańczą cały rok. Dawniej kochali taniec — dziś go omal że nie znoszą. Dawniej mówili do siebie tańcem — dziś ich taniec nic nie mówi. Każdy taniec jest dzieckiem swej epoki. Żywiołowa natura kmiciców szalała mazurem — zniewieściały król Staś tańczył menueta — domyślna Malwina czaruje walcem. Dziś dla znudzonych snobów powolne tanga i bostony. A cóż będzie za lat 100?

Hanka Sieczkowska
kl. VI a.

Wystawa w Pałacu Sztuki, Kraków.

Warszawa. *Pracownia malarska M. Połoskiej.*



Do miłych atrakcyj tegorocznych należy w naszej szkole zwiedzanie co miesiąc wystawy obrazów w »Pałacu sztuki«. Jedna z nich zajęła mnie szczególnie.

Złożyły się na nią dzieła artystów przeważnie krakowskich. Ogólne wrażenie z wystawy — dobre. Na omówienie najbardziej zasługują obrazy Pieniążka i Pinkasówny. Tematy akwareli Pieniążka są prawie wszystkie folklorystyczne. Mamy więc grupy wieśniaków — Górali i Krakowiaków, pozatem wnętrza kościółków podhalańskich i orawskich, kilka chat orawskich oraz figury świątków.

Najbardziej udatne, to wnętrza kościołów — iście koronkowa robota Dobrany odpowiednio koloryt daje całość bardzo korzystną. Natomiast grupy wieśniaków w ludowych strojach mają w sobie coś nienaturalnego. Brakuje im ruchu i wyrazu. A już najbardziej szwankuje koloryt.

Wszelkie tematy folklorystyczne wyma-

gają wielu bardzo ostrych, kontrastujących ze sobą barw. I tu Pieniążek daje kolor np. różowy obok zielonego, ale barwy te dziwnie odbijają od białego tła i od reszty, wykonanej lekko i subtelnie.

Z krajobrazów najładniejsze są kościółki wiejskie (z zewnątrz) wykonane sepją. Co do jednego tylko krajobrazu miałabym pewne zastrzeżenie. Były to duże wiejskie chaty. Zdaje mi się, że tu Pieniążek zapomniał o zadaniu akwareli, aby przedmiot uważany za temat obrazu wykonać dokładnie a delikatnie, natomiast tło zaznaczyć paru kreskami. Tutaj krajobraz był przeładowany zielenią, można było prawie policzyć źdźbła trawy, podczas gdy wystarczyło je zaznaczyć.

Można powiedzieć, że technika Pieniążka jest już przestarzała, a to z powodu zbyt wielkiej dokładności w wykonaniu dzieła i za mało uwzględnionego ruchu.

Piękne były oleje Pinkasówny, a zwłaszcza wnętrza kościołów. »Kościelny« koloryt, odpowiednie oświetlenie i świetna perspektywa — oto główne zalety tych prac.

Dwie prace Markiewicza »Targ« i »U szewca« kontrastowały ze sobą. Podobał mi się szczególnie »Targ«, gdzie od tła zakrytego jakby liljową mgłą na plan pierwszy wybija się grupa żydów. Nie wiem, czy jest to specjalna technika artysty, czy też wynika to z tematu (mglisty poranek), ale efekt obrazu całkowicie osiągnięty. »Emaus« Hoffmana — dobre, ludzie w kolorycie, w ruchu, czy tylko twarz Chrystusa nie jest za mało boska?

Orjentalne minjaturki Zaremby b. ładne i efektowne, głównie dzięki oryginalnej technice, n. p. widok miasta tureckiego wykonany jest tylko samemi konturami, wypełnionemi jednolitym kolorem. Korzystne wrażenie robiły również jego stylizacje roślinne. Rychter-Janowska nie przyniosła nam nic nowego. Z prac jej wystawiona była miła, wykonana jej specjalną techniką »Procesja Bożego Ciała« oraz »Cmentarz Ormiański« mniej udatny zresztą. Wystawę pozatem zapełniły prace artystów: Haydera, Seweryna.

S. G. Gim. 440.



Stroje ludowe z Sądeckiego.
Józef Pieniążek.



„K W I A T Y"

Na szybie
Rzucone Fantazji ręką,
Królują
Bezcenne, cudowne,
Srebrnie się skrzące,
Blade, przepyszne kwiaty.
Splątane,
Z uwięzi ramy,
Brylantowemi płatki
Wabią płomień lampy.
I błyszczą biało...
Tajemnicze
Bajkową pięknością,
Zimne kwiaty.

— — — — — — — — —

Był mroźny wieczór. Rozgwieżdżone niebo rozpięte, zda się, nad umarłą ziemią. Cisza niezamącona. Nawet wrzaskliwe wrony uciekły do ludzkich osiedli.

W blasku miesiąca »biała martwota« srebrzyła się brylantowo. Świeciła jednakowa, straszna.

Życie już znikło. Wiatr tylko poświstywał piosnkę ciszy. W tem bezkresnem, sennem polu, któżby ośmielił się żyć!?

Lecz co to? Na białej równinie przykucnęła mała, nawpół rozwalona chatka. Łypie strachliwie różowem okienkiem. Czemu? — bo sama jedna przypadła, zapomniana, do ziemi.

Zaciekawiony wiatr zatargał wściekle, niedomkniętemi drzwiami, zaniósł się upiornym śmechem, naigrawając się z nędzy.

Przy dogasającem ognisku, przytulone do siebie siedzą dzieci. Twarze ich z zimna zsiniałe, wychudłe z głodu.

»Jasiu, Jasiu — Zosi tak zimno! I jeść mi się chce. Jasiu!«

Mała Zośka obejmuje starszego braciszka za szyję i skarży się załośnie.

Janek ogląda się po izbie bezradnie. Niema już ani kawałeczka chleba, ani polana drzewa. Zimno? On sam przecież wie o tem. Dogasający ogień nie daje już ciepła.

»Cicho, Zosiu! Cicho malutka. Nie płacz. Przyjdzie mama, przyniesie chleba i drzewa. Zobaczysz, będzie ciepło i dobrze.«

»Ale kiedy mama psijdzie? Powiedz! Cy psyniesie?«

Chłopiec przytulił dziecko do siebie. Okrył łachmanami kurtki.

Czy przyniesie? Jaś niebardzo w to wierzył. Tyle razy chodziła zdobyć coś dla dzieci. Napróżno! A dziś?!

Śnieg chrzęści. Czyżby matka? Chłopiec spojrzał w okno i zadziwił się. Na szybach lśniły się srebrzyście cudowne kwiaty.

Płomyk dogasającego ogniska zapalał brylanty, odsłaniał całe bogactwo i przepych królewsktch kwiatów.

Jasiek patrzył i patrzył oczarowany.

Jakto? te cuda w tej nędzy? Pytał z bolesnem zdziwieniem. Te brylantowe kwiaty w domku, gdzie niema grosza na chleb?

»Nie płacz, Zosienko! Czy widzisz te kwiaty na szybie? Widzisz? Wiesz, mówił tajemniczo. To są brylantowe kwiaty. To z ogrodu Bajki. Są najcudowniejsze, bezcenne. Jeszcze ich nikt nie miał.

A wiesz Zosienko! — szeptał już promiennie uśmiechnięty — co one tu robią na naszych szybach? To dobra wróżka położyła je, widząc naszą nędzę i głód.

Dobra wróżka, kochana!

Jaś zbierze te cuda. Pójdzie do miasta i sprzeda.

I wiesz, Zosienko? Dadzą nam za nie dużo, dużo pieniędzy.

Wtedy Jaś kupi dla Mamy ciepłą, grubą chustkę.

Dla Zosi będą buciki i nowiuteńką, niebieską sukieneczkę.

A kiedy Jaś sprzeda srebrzyste kwiaty, wtedy Mama zgotuje dużo gorącego krupniku. Na kominku będzie się palił wielki ogień.«

»Ja chcie telaz klupniku! Mnie telaz zimno! Tak mocno!«

Jasiek drgnął. Drżąca z zimna Zośka płakała głośno.

Ogień na kominie wygasł już zupełnie. Wiatr wciskał się przez szpary. Szarpał drzwiami. Śmiał się głośno z Jaśka.

Po twarzy chłopca płyną gorące łzy... Mroki izby rozświetlają już tylko blade przepyszne kwiaty.

Wanda

Technika czy sztuki piękne.

(Koleżankom ku rozwadze.)

Mogłoby się zdawać, że technika a sztuki piękne, to rzeczy tak odrębne, że porównać ich ze sobą absolutnie nie można. A jednak myliłby się bardzo, ktoby tak sądził. Technika bowiem przyczyniła się dużo do spopularyzowania sztuki, udostępniła wielu ludziom wglądnięcie w tę dziedzinę tak dawniej daleką.

Technika graficzna, reprodukcyjna, doprowadzona do wspaniałego rozwoju przez zastosowanie fotografji, udostępniła nam dzieła sztuki malarskiej, zgromadzone w galerjach i muzeach rozsianych po całym świecie.

Gramofon — ten prosty a genjalny wynalazek reprodukcji głosu ludzkiego — udostępnił ogółowi dzieła wielkich kompozytorów oraz ich odtwórców, muzyków czy śpiewaków.

A wreszcie najwspanialsze dzieło techniki — radjotechnika. Zapomocą radja możemy uczestniczyć w koncertach odbywających się czasem na drugiej półkuli.

Nasuwa się jednak pytanie, czy sztuce nie grozi mechanizacja? Mogłoby się to wydawać nawet prawdopodobne, ale jeżeli wglądniemy głębiej w tę sprawę, przekonamy się, że do mechanizacji sztuki dojść nie może.

Prawda, że nieraz zdarza się, że wolimy słuchać koncertu, siedząc wygodnie w ciepłym pokoju, niż wędrować do sal często źle przewietrzanych czy małych; nie znaczy to jednak, aby osłabło zajęcie się sztuką, przeciwnie, może nieraz wzrasta ono nawet, a wielu ludzi chorych czy biedniejszych, nie mogących sobie pozwolić na kupowanie drogich biletów koncertowych, wysyła listy z podziękowaniami do radja za dostarczenie im cudownej rozrywki.

To tylko radjo — a cóż dopiero mówić o powstającej obecnie telewizji. Z chwilą wprowadzenia jej w życie będzie można przeprowadzać reportaże z różnych wystaw obrazów, pałaców sztuki i t. p.

Obecnie uczony japoński wynalazł przyrząd fotograficzny, wykonujący fotografje plastyczne i oto nowa zdobycz dla rozpowszechnienia sztuki, bo czyż nie będzie wielką przyjemnością oglądanie wspaniałych krajobrazów, odbitych plastycznie na papierze? Ale czy przez to osłabnie zainteresowanie rzeźbą?

Mają obecnie ten wynalazek profesora japońskiego wprowadzić w kinach i rzucać na ekran obrazy, niepowiększone, ale naturalnej wielkości. Czyż nie będzie nam się wydawało wtedy, że jesteśmy w jakimś zaczarowanym kraju, widząc przed sobą ulice czy place, ogrody czy lasy uwypuklające się przed naszemi oczami? Naprawdę kraj baśni, o jakim się nawet dzieciom nie śniło!

Widzimy więc, że technika zmierza tylko do rozszerzenia sztuk pięknych, większego ich zrozumienia i spopularyzowania wśród społeczeństwa.

Dlatego więc niech konserwatyści schowają swój zarzut, że sztuce grozi mechanizacja i że technika a sztuka, to dwie odrębne dziedziny, niech pokonani spuszczą głowy i cicho usuną się od dalszej dyskusji, a my zawołajmy: »Niech żyje genjusz ludzki, który stał się dobrodziejem ludzkości; niech żyje technika, popularyzatorka sztuki«.

Ewa Kijakówna
kl. VII gimn. 440, Kraków.

JA ŚNIĘ

Noc, noc głucha i ciemna,
Ja śnię...
Gdzieś w kraje nieznane,
Urokiem owiane
Fantazja unosi mię...
Na skrzydłach czarownych
Unoszę się wciąż,
Po krajach cudownych,
Wciąż mknę...
A chociaż na dworze jest noc,
Wędrówki niezwykłej tej moc
Otacza mię.
Ja płynę bez końca,
A w świetle miesiąca
I w barwach granatu
Swe myśli ślę.
Do szczytów z granitów,
Do świata zenitów
Na skrzydłach fantazji wciąż mknę...

Blanka Pressówna

„B E Z D O M N I“

Zmrok zapadł nad miastem. W blasku płonących latarni wirują chmury lekkich, białych płatków. Radjo gra smętną melodję wschodniego tanga. Film zaczęty. Ulica roi się od przechodniów. Mali gazeciarze biegają pospiesznie, wykrzykując ochrypłym głosem, wyrywającym się z trudem ze zmęczonych płuc: »Ekspres ilustrowany, dziesieńć groszy!« »Wieczór Wilna!!« — krzyczy ktoś głośniej. Chłopczyna niewiele ma lat, może 12, a może mniej, tylko tak staro wygląda — »Wieczór Wilna!«. Oczy szeroko rozwarte patrzą na białe wirujące płatki. Przeżywa widzianą przed chwilą scenę: Roześmiana, różowa buzia 5-letniej dziewczynki. Skrzące gwiazdeczki osiadły na ciemnych lokach. Główinę zadarła wgórę i patrzy radośnie w twarz młodego człowieka — »Co malutka, kochasz tatusia? —

»O!« —

»Pokaż jak!«

— »O, tak mocno! mocno! — zawisła na ręku ojca, ściskając ją ze wszystkich sił małemi rączynami. Mruga zachwyconemi oczami, strzepując śnieg z długich rzęs.

»Tatusiu, telaz do domu, plędko do mamy!«

I znikli za szklaną szybą auta. —

— — — — — — — — —

Do domu!

»O Boże, Boże, a ja nie mam domu!«

I znów za parę godzin straszna noc w cuchnącym kącie pod mostem, słabnące z zimna członki, a potem ciężki sen wśrod cichych łez niedoli.

»Gdybym i ja miał dom i czyjeś serce kochające...« — Wirują białe płatki w srebrzystych promieniach reklamy.— Snują się obrazy jasne i szczęściem radosne przed oczyma samotnego dziecka. — Cichy domek — pełno słońca. — Czyjaś droga, najdroższa dłoń kładzie się na zmęczonej głowie. Czyjeś ukochane usta szepczą cicho: Synu!...

— — — — — — — — —

»Ja nie mam domu! Ludzie, czy wiecie, ja nie mam domu! Ja sprzedaję gazety!« Gwałtowny skurcz łkania ściska gardło. »O Jezu! — Wieczór Wilna!!!« Stara się ochrypłym, głośnym krzykiem zagłuszyć myśli męczące.

Oglądają się przechodnie, śmieją się karminowe usta: »Ale wyrobił sobie głos!«

Dosłyszał. Skulił się w sobie. Przebiega z ulicy na ulicę i już ciszej woła: »Wieczór Wilna!«

Słabo migają światła, ludzie idą pospiesznie, gwar rozmów, odgłos śmiechu, dzwonki tramwajów i trąbki aut mieszają się w wesoły pogwar miasta.

Może ktoś kupi gazetę. Może dużo sprzeda i pójdzie do kina, zapomni o strasznej szarzyźnie codziennego życia bezdomnego włóczęgi. Przeniesie się duszą gdzieś w egzotyczne kraje, on, bohater, zbawca narodu witany przez tłumy ludzi, zasypywany deszczem kwiatów... Nie, to tylko śnieg pada. —

Dlaczego to wszystko tylko w kinie? A może, a może i życie urzeczywistni te jego marzenia. Może ktoś go weźmie do siebie i da mu miłość i dom. A on z wdzięczności narazi życie dla niego. Tak, narazi, ale nie odda, bo to tak dobrze żyć, gdy ma się świadomość miłującego serca. Jakby to dobrze było!...

— — — — — — — — —

Nie trzeba marzyć dziecko, otrząśnij się z tych myśli i serce schowaj głęboko w skołatanej, chorej piersi. A teraz odrzuć głowę wtył i krzycz mocno: »Wieczór Wilna!« Może ktoś kupi gazetę i pójdziesz do kina — to pewniejsze.

»Wieczór Wilna!« — Już się skończył, nikt gazet nie kupuje.

Czujesz zimno? — Chodź do mnie, podajmy sobie ręce, ja też nie mam domu.

Nam we dwoje jakoś raźniej będzie, nie zazdrośćmy sobie, bo jednaki los nas czeka.

»Wieczór Wilna!« — nie dziecko, już noc, idź spać, nabierz siły na jutro.

Nie masz domu? Ja wiem o tem, no co, jesteśmy przyjaciółmi? Jutro się spotkamy. Ja, przechodzeń, usłyszę twój głos, tylko krzycz mocno, zakrzycz płaczące serce, a ja cię odróżnię od innych.

Marja C..... z Wilna.

WET ZA WET.

Siedzieliśmy wokół stołu, zawalanego resztkami jedzenia i grali w karty. Na hali zapadł już mrok, przeto gospodyni schroniska przyniosła nam małą, zakopconą lampę i powiesiła w kącie sali na ścianie. Miłe, łagodne światło rozlało się po wnętrzu, a swojskość tego miejsca podnosiły znacznie rozrzucone w nieładzie swetry, plecaki, buty i wogóle wszelki sprzęt turystyczny. Towarzystwo było dobrane, sami wytrawni taternicy, kompanja zżyta ze sobą od wielu lat i znająca się ze sobą »jak łyse konie«. Właściwie ja jeden byłem tutaj nowicjuszem i przyznać się muszę szczerze, że czułem się nieco nieswojo. Mój Boże! ci ludzie zjedli już przecież zęby na górskich wyprawach, a taki Sarenka np. doczekał się niemal siwizny, podczas gdy ja, gołowąs zaledwie dopiero początkujący, jakiż głos mogłem mieć między nimi.

Nie wiodło mi się. Czerwony, gorączkując się zwalałem winę na partnerów, usprawiedliwiałem się, jak mogłem. Aż wkońcu gniew ogólny przeciw mnie zapłonął. I oto nagle nadeszła katastrofa. Sarenka zmróżył jedno oko i rzekł dobitnie:

— Nie zapalaj się zbytnio, Zyziu, bym ci przypadkiem nie przypomniał twojej wczorajszej wspinaczki na południowej ścianie Niebieskiej Turni!

Serce zabiło mi ze wstydu i przerażenia; teraz naprawdę najchętniej schowałbym się pod ziemię. Ta Niebieska Turnia, to prawdziwa moja hańba. Byłem tam wczoraj z Sarenką i w najkrytyczniejszem miejscu nerwy odmówiły mi posłuszeństwa, zasłabłem jakoś dziwnie, tchu mi zabrakło — i co tu owijać zresztą w bawełnę — poprostu zląkłem się. Nic nie pomopły prośby i groźby Sarenki — powiedziałem, że nie pójdę i słowa dotrzymałem! Musieliśmy wrócić do schroniska. Nic więc dziwnego, że zależało mi tak bardzo na zachowaniu tajemnicy.

A Sarenka jak na złość mówił dalej:

— Bo wiecie panowie, odwaga, to taki dziwny zwierz: raz jest, a raz go niema. Szczególnie u ludzi bardzo młodych.

— I starszym się to przytrafi, zawołałem, chcąc przerwać za wszelką cenę dalsze słowa. Był to cios oczywiście zupełnie, chybiony, a Sarenka odparł spokojnie:

— Możebyś tak swoje słowa poparł przykładem, bo ja tak właśnie chcę postąpić.

— Już po mnie, pomyślałem z goryczą i postanowiłem nie odzywać się więcej. Sarenka tymczasem opowiedział dokładnie jak było, tak kończąc swą przemowę:

— Nauka z tego jest jasna. Niech nigdy kurczę nie uczy kury, bo nic mądrego nie wymyśli, a może jeszcze co oberwać!

Kompromitacja była więc dokładna i zawrzałem nagle chęcią zemsty. Nie wiedziałem jeszcze, co zrobię, lecz to widziałem jasno, że pożałuje Sarenka i oni wszyscy tego wstydu, jaki mi sprawili. Tymczasem należało przedewszystkiem jakoś się zrehabilitować: palnąłem więc na chybił trafił, sam nie wierząc w to, co mówię:

— Ale ja wam i tak pokażę, co potrafię. Pójdę jutro na »Niebieską« sam i wejdę bez żadnej asekuracji!

— Może kto innyby tak zrobił, — zaśmiał się taternik, zwany przez nas Konewką, — ale nie ty, Zyziu!

— Krowa co dużo ryczy... zaczął Sarenka.

Tego było już za dużo. Zakląłem szpetnie i wybiegłem ze sali.

Noc miałem fatalną: przewracałem się z boku na bok po łóżku, słyszałem we śnie huk spadających lawin, wdzierałem się na jakieś skały, spadałem z nich, wogóle śniło mi się wszystko najgorsze. Było to skutkiem tego, że tak wyśmiany postanowiłem naprawdę pójść na ową nieszczęsną Niebieską Turnię.

Rano zbudziłem się przede dniem, ubrałem się prawie pociemku i krząkając głośno, by wszystkich pobudzić, wyszedłem ze schroniska.

Było jeszcze szaro, mgła snuła się po kosówkach i maliniakach, lecz opadała zwolna nadół na znak pogody. Chłód był przejmujący, wilgotny. Ruszyłem wolno przed siebie, zły na cały świat, a Sarenkę w szczególności, pełen najgorszych przeczuć i jakiś dziewnie osowiały.

— Podłe jest życie — myślałem z pasją. O takie głupstwo, jak nieumiejętność gry w karty, muszę teraz narażać swoją skórę i wo-

góle djabli wiedzą, czy to nie moja ostatnia wspinaczka. Na samą tę myśl przeżegnałem się pobożnie, lecz humor straciłem doreszty.

Mgła opadła już zupełnie, a szczyty gór poczęły płonąć czerwonym blaskiem wschodzącego słońca. Ze szałasów góralskich rozległy się nawoływania, brzęczenie dzwonków, bek owiec, a jakiś głos młody i czysty zerwał się nagle donośnie:

— *Hej kierdelik, kierdelik, łowiecek ze [dwieście,*
— *Hej hybojciez juhasy, niesie baba jeście!*

— Im dobrze pomyślałem.

— Zdala w masywie Świnnicy sterczał ostry, posępny ząb Niebieskiej Turni...

Wychodząc za Zawrot usłyszałem za sobą jakieś krzyki. Pięciu ludzi pędziło pod górę na złamanie karku, wołając coś głośno, czego z powodu odległości zrozumieć nie mogłem. Lecz, nagle przyjrzawszy się im bliżej, rozpoznałem ni mniej ni więcej tylko Sarenkę. Konewkę i pozostałych trzech kompanów. Pojąłem oczywiście odrazu, o co im chodzi: wczoraj kpili ze mnie, pewni, że i tak nie pójdę, lecz teraz widząc, że to nie przechwałki, przelękli się i chcą mnie zatrzymać. Otóż nie zatrzymają. Przyspieszyłem kroku i po chwili byłem już na przełęczy, a potem ścieżką na prawo aż do miejsca najwygodniejszego podejścia pod strome, gładkie płyty, zawieszone nad głową. Zboczyłem ze ścieżki. Gdy znalazłem się już na ich wysokości, zdjąłem buty, pończochy, wsadziłem je do plecaka, poczem boso ruszyłem w dalszą drogę, trawersując na prawo owe płyty. Rosa nie zdążyła jeszcze zejść z miejsc ocienionych, toteż ślisko było i niebezpiecznie. Lecz teraz nie cofnąłbym się już za nic w świecie! Szedłem wolno, krok za krokiem, twarzą stale zwróconą do ściany, wykorzystując każdą szczelinę i zagłębienie. Powoli, powoli zbliżałem się do »Kominka«, miejsca wczorajszej mojej klęski i zarazem najniebezpieczniejszego odcinka ściany. — Stanąłem po nim: Wyglądał groźnie, — gładki, prawie bez chwytów i zlekka przewieszony. Teraz należało odpocząć nieco i nabrać sił. Wraziłem nogi w szczelinę i przycupnąłem jak najwygodniej. Rozejrzałem się po świecie:

Prosto przede mną sterczał potężny stożek Krywania, dalej mur Hrubego Wierchu, a potem już na lewo, daleko, Szatan, Mięguszowiecki, Rysy, Wysoka...

Szedł od gór jakiś szum głuchy, jednostajny, szum wiatru, rozbijającego się wśród głazów, potoków przewijających jasnemi wstążkami poprzez doliny i siklaw spadających ze skał i rozbijających się wdole. A pod nogami memi przepaść głęboka, najeżona ostremi głazami, straszna a pociągająca...

— Zyze-e-ek! rozległ się naraz głos z jej dna.

— Jestem!

— Na Rany Boskie, co ty robisz!? Zaczekaj na nas!

— Ani mi się śni!

Podniosłem się zwolna i rozpocząłem dalszą drogę. Zahaczyłem ręce o pierwsze chwyty, podciągnąłem się ku górze; teraz tam, gdzie przed chwilą ledwie sięgnąłem wyciągniętemi rękami, znajdują się już piersi. Kominek staje się bardziej przewieszony, wydaje mi się, że przepaść leży nie pod nogami, ale pod plecami. Coś odpycha od skały, że ledwie mogę się jej kurczowo utrzymać.

Podciągam się jeszcze wyżej. Teraz już nie można wrócić. Jestem zawieszony między niebem a ziemią, życiem a śmiercią. Pozostaje mi tylko jedno pragnienie silne jak życie samo: — wyjść. Za wszelką cenę wyjść. Jeden nieostrożny ruch, a polecę nadół i roztrzaskam głowę... Podciągam się wyżej. Z pod nóg urywa się niewielki kamień i spada w przepaść; słyszę wyraźnie jak odbija się od skały do skały coraz niżej i niżej...

Br... — Jeszcze tylko metr do końca! Palce mam już osłabłe i ledwie się mogę na nich utrzymać. Teraz chwila największego:... I nagle urywa mi się chwyt z pod ręki — lecę... przemknęło mi przez głowę, a na plecach i czaszce poczułem ów charakterystyczny dreszcz i ścierpnięcie skóry. — Obsunąłem się gwałtownie nadół, lecz zaciśnięte kurczowo palce lewej ręki nie wyśliznęły się jakoś ze szczeliny ... Ścisnąłem je jeszcze bardziej, szukając szybko nowego chwytu dla prawej ręki. Znalazłem go tuż nad głową. Ostatnim wysiłkiem zdobyłem, spocony i przerażony, ten metr ostatni.

Teraz już całkiem łatwo na szczyt. — Zwycięstwo! (*C. d. n.*)

TRZY KOPCE

Zegar na ratuszu krakowskim wybił godzinę 3-ą po południu. — Z pod kościoła P. Marji rusza autobus wiozący naszą wycieczkę — uczenic gimn. SS. Niepokalanek w Jarosławiu — złożoną z 19-tu osób.

Słońce świeci śliczne, jasne, wesołe, wszyscy są w doskonałych humorach.

Niedziela po południu. — Autobus sunie naprzód przez ruchliwe ulice Krakowa, — przejeżdża przez Wisłę, Podgórze i... staje u podnóża »Krakusa«.

Wysiadamy, idziemy pod górę po kamienistej drodze i wkońcu jesteśmy u stóp samego kopca.

Przewodnik nasz, p. Józef Żurowski, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, otwiera bramkę zrobioną z drutu; (nie każdemu wolno tu wchodzić). — Parę dziewczynek chce wejść po zboczu, ale niestety! nie można obrywać stoku. Dostajemy się wkońcu na sam szczyt.

Widzimy pień drzewa, olbrzymich rozmiarów, osłonięty deskami...

Zwracamy się do p. Żurowskiego o wyjaśnienia. On bowiem kieruje rozkopywaniem »Krakusa«. — »Panie są pierwszą i ostatnią wycieczką szkolną, która jest na kopcu w czasie robót. Nikomu tu teraz nie wolno wchodzić. — Widzą panie pień, świętego dębu, który według naszych obliczeń leży w ziemi, na szczycie kopca około 1000-ca lat, a pochodzi prawdopodobnie z VI w. przed Chr. Przypuszczalnie został ścięty w okresie chrztu Polski. Jest to bardzo dziwne, że na szczycie kurhanu rosło drzewo. Spodziewamy się, że kopiąc wgłąb, — 3 m. zwierzchu już są zdjęte — na głębokości 16-tu m, czyli u samego podnóża, znajdziemy grób Krakusa, albo jakiś inny pomnik przeszłości.

Może wkońcu dowiemy się kim był ów legendarny Krakus. Kurhan ten był sypany ludzką ręką, świadczą o tem różne warstwy ziemi, usypane jedne na drugich. Zboku, z czterech stron, jak panie widziały, są zrobione t. zw. odkrywki, w celu poznania, na jakiem podłożu kopiec jest usypany.

W czasie zdejmowania szczytu znaleźliśmy dużo monet z różnych epok; najstarsze były z czasów Jana Olbrachta. — Teraz co do samego dębu — jest to bardzo duża praca. Po wykopaniu będzie on przeniesiony do Muzeum Etnograficznego. Bardzo trudno go wykopać, gdyż ma rozgałęzione korzenie. Oczyszczamy go malutkiemi łyżeczkami, od czarnej kawy — dodał ze śmiechem — łopatkami. Prócz tego musimy uważać, żeby kopiąc wgłąb, nie naruszyć boków kopca i zachować jego kształt«.

Dostałyśmy potem wszystkie po kawałku dębu, na pamiątkę, z przestrogą, że jeżeli któraś z nas (z VIII-ej kl. oczywiście) zgubi go, to nie zda matury.

Następnie fotografowałyśmy się na tle pnia, ostrzegane, żeby się do niego zbyt nie zbliżać, bo drzewo jest kruche i możemy je uszkodzić.

Chodziłyśmy jeszcze dość długo po kopcu i wkoło niego, przyglądałyśmy się zaczętej robocie.

Ile to rzeczy ciekawych znajduje się w naszej ziemi, o których nikt nie wie, czasem nie przypuszcza nawet, że mogą być. A jak ciekawe są różne wykopaliska, np. ten pień dębu. Ktoby mógł przypuszczać, że w szczycie kopca jest reszta drzewa, święty dąb, pamiętający czasy pogańskie. — Przez tyle wieków nie zbutwiał, nie rozleciał się w proch, ale przetrwał, może poto, by nam dać wyobrażenie o swojej długowieczności i zamierzchłych czasach.

Rozmyślania moje przerwał p. Żurowski, wołając, że czasu szkoda. — Ruszamy więc do autobusu, pędząc zgóry na wyścigi, zachęcane okrzykiem przewodnika: »Tempo! Tempo!«

Jedziemy teraz na kopiec »Kościuszki«. Zupełnie inne wrazenie niż poprzednio. Koszary naokoło; porządne ścieżki prowadzą nas na szczyt, tam kamień duży z napisem: »Taduszowi Kościuszce — rodacy«. — Tutaj przychodzi na myśl chwila przysięgi dowódcy powstania, zapał całego narodu, a potem sypanie kopca przez wdzięczność.

Na krótką chwilę zatrzymujemy się w Zwierzyńcu i dojeżdżamy do wzgórza, na którem będzie usypany kopiec marszałka Piłsudskie-

go. Zdaleka widać wysoki maszt i powiewającą na nim chorągiew. — Żałujemy wszystkie, żeśmy nie przywiozły ziemi, by ją tu złożyć. W braku jej bierzemy z pod lasu grudki i rzucamy pod masztem. Możemy powiedzieć teraz, że i myśmy sypały kopiec Marszałkowi.

Niestety już się ściemnia, więc w szalonem »tempie« wracamy do autobusu, a następnie do naszego starego, kochanego Krakowa. Świeci on zdaleka i mruga do nas tysiącem oczu; dolatuje gwar uliczny, dzwonki tramwajów, syreny aut. Miasto teraz jest pełne życia, ulice zaludniają się... Nie na długo jednak, stopniowo wszystko cichnie, po trotuarach chodzą nieliczni przechodnie... miasto zasypia... tylko latarnie wesoło mrugają i wgórze, wysoko, gwiazdy świecą...

Jedna z uczestniczek wycieczki.

ŚWIATŁO W MROKU

Cisza... Przede mną leży otwarty słownik francuski, zeszyt, jakaś bajka, którą mam opracować, w ręku trzymam pióro. Wzrok błądzi po jasnych głowach koleżanek, pochylonych nad zadanem wypracowaniem. Patrzę obojętnie, ogarnia mnie jakaś rezygnacja i apatja. Jak przez sen widzę wysoką, czarną postać Matki na katedrze, słyszę zdenerwowany głos koleżanki, wydającej półgłosem zadaną lekcję.

Myśl moja ulatuje gdzieś, w nieznany mi dotąd kraj, gdzieś poza obręb klasztoru, ławy szkolnej. Już mnie nic nie obchodzi, czuję się sama i opuszczona. Nagle ciszę przerywa przytłumiony okrzyk: „Śnieg pada!".

Otrząsam się z zadumy kierując wzrok ku oknu. Ciężkie białe płaty spadają miękko, bezszelestnie na ziemię, otulając ją w swój puchowy całun. Jak one szybko lecą — przecież niedawno były, hen, wysoko, w śnieżystej chmurze gnanej wiatrem — a teraz — za chwilę znikną mi z oczu, złączą się z temi, które pierwej spadły. I zdaje mi się, że te białe śnieżne gwiazdki lecące z nieba, to życie moje — nasze. I ono tak szybko mija, a dusza ludzka, która jak śnieżny płatek przebyła swą drogę, ulata, łącząc się z temi, co już odeszły. W duszy czuję bunt. Poco żyć?! Poco się męczyć?! Czy poto, aby jak ten śnieg, zamienić się w nicość?! Och, cóż jest życie? pyta skołatany umysł — co szczęście?

Lecą, lecą śnieżne płatki i cicho, bezszelestnie spadają na ziemię białym całunem. Zmęczona myśl szamoce się, idzie wgłąb, zstępuje pod srebrzystą zasłonę otulającą ziemię. A tam, o Boże! Boże! tam wre życie! Więc trzeba było, by biały płateczek śniegu odbył swą drogę i spadłszy zapewnił istnienie miljonom drobniutkich stworzeń? trzeba było, by kosztem życia — dawał życie? Jakie to proste, takie bliskie, takie znane: „Jeśli ziarno pszeniczne wpadłszy w ziemię nie obumrze, samo zostanie, a jeśli obumrze, siła owocu przyniesie".

Tak, tak, już teraz rozumiem wszystko! Szczęście — to ofiara, to radosne danie życia, sił, to niesienie słońca tym, którzy w mrokach pogrążeni, tym co cierpią, tym co zwątpili, jak ja przed chwilą!

Hej, czuję jak skrzydła mi rosną, jak dłonie się prężą do pracy dla Boga, Kościoła, Ojczyzny ukochanej, dla wszystkich tych, którzy staną na drodze życia mego prosząc, albo tylko potrzebując pomocy. Zrozumiałam czem jest życie, pójdę przez nie mężnie, choćby było ofiarą. Z czołem wzniesionem i dziwną mocą w duszy opuszczam klasę, serce bije radośnie... Za oknami tylko wicher boleśnie zawodzi, unosząc wdal śnieżne, białe płatki...

Danka Wiesiołowska

JUŻ DAWNO..

Już dawno przestałam marzyć
I bajki dziecinne śnić.
Chcę czynem serce rozżarzyć
I w życiu realnem tkwić.

Chcę zdobyć taki hart ducha,
Którego granit nie wzruszy,
Chcę silną być i odrębną,
Mieć dostojeństwo w duszy...

Emi
ucz. kl. VII gimn.

Liga Katolicka Okręgowa

Sekcja Opieki Pozaszkolnej w Krakowie.

Trzy obrazki z przedmieść: Ojciec umarł na suchoty po 3 latach choroby — najstarsze dziecko ma lat 12, najmłodsze rok. Mieszkają w izbie o jednem oknie z drugą rodziną — wdowa również z pięciorgiem dzieci i jeszcze jedną kobietą staruszką.

Drugi obrazek; Ojciec odszedł — wypadki to dziś niestety częste, przerażająco częste — została kobieta z siedmiorgiem dzieci, najstarszy drobny i wątły ma lat 17 — najmłodsze 9 miesięcy, jedno niedorozwinięte. W izbie siennik tylko, wszystko wysprzedane.

Trzeci: dzieci pięcioro, najmłodsze 4 lata, nastarsze 16, siedzą napół nagie, brudne, na barłogu jak zwierzątka — gdy niema nikogo, biegają po izbie, w zimie grzeją się przy piecu, ale za ukazaniem się człowieka kryją się w łóżku. Żadne nie chodziło do szkoły, a dwoje najmłodszych było nieochrzczonych.

Żywią się rozmaicie: Chleb, to przysmak, pozatem jakaś zupa, obiady z komitetu Arcybiskupiego; bułka dla dziecka, lub cukier, to zbytek. Dziecko piło z flaszki letnią wodę, bo nie było paru groszy na mleko.

Głód, nagość, to nędza materjalna, ale ileż więcej nędzy moralnej, co te dzieci widzą w tem kłębowisku ludzi stłoczonych w ciasnocie, co słyszą! Czego ich uczą, jakie w nich wpajają zasady!

Tą ostateczną nędzą przedmieść opiekuje się Liga Katolicka przez Seksję Opieki Pozaszkolnej. Prowadzi świetlice w Zakrzówku, Dąbiu, przy ul. Prądnickiej (kontumacja), z których korzysta 350 dzieci i przedszkole dla 74 dzieci. W miarę możności i środków dzieci się dożywia, pomaga w nauce, jest już trochę zabawek dla małych, książek, plasteliny, robót dla starszych. Odwiedza się rodziny, bada stosunki na miejscu, odziewa dzieci, umożliwia korzystanie ze szkoły czy ochronki. Praca to niemała, zwłaszcza utrudniona odległością. Na tę pracę, obok sił ofiarnych i poświęcenia, potrzeba pieniędzy, ubrań, bielizny, obuwia. Najstarsze, podarte rzeczy przerabiamy, stare swetry, szale, po wypraniu pruje się i przerabia. O książki prosimy, o gry towarzyskie, gdyż w Prądniku. jest wypożyczalnia i dla starszych.

Wszystkie rzeczy przesyłać prosimy do Przewodniczącej p. Idy Kopeckiej, Kraków, Sobieskiego 3, parter. Datki pieniężne czekiem P. K. O. Nr. 410.052.

Kraków, styczeń 1935.

Prezes L. K. O.:
Mianowski

w zast. Sekretarki: *Chryścińska*

Przewodnicząca sekcji: *Ida Kopecka*

Sprawozdanie z działalności

Sekcja Opieki Pozaszkolnej Katolickiej Ligi Okręgowej zajmuje się najbiedniejszą dziatwą przedmieść Krakowa: Dębnik, Dąbia, Wesołej, Olszy i na Prądnickiej (kontumacja). Na tę opiekę popołudniową uczęszczało około 400 dzieci. Prowadzi się również przedszkole, do którego uczęszcza około 70 dzieci od 2—7 lat i otrzymuje śniadania i obiady.

Opieka nad dziećmi — to pomoc w nauce, wpływ moralny i wychowawczy, dożywianie przez podwieczorki i śniadania, w miarę możności i potrzeby dostarczenie ubrań i obuwia.

W porze wakacyjnej w trzech półkolonjach opiekowała się Liga około 300 dziećmi, zaś dla 80 urządziła kolonje w Lubniu.

W kolonji miały dzieci całkowite utrzymanie. w półkolonji i przedszkolu wydano obiadów 4600, śniadań 7750, podwieczorków 378000. Ubrań rozdano ogółem przeszło 300 sztuk.

Dom wypoczynkowy SS. Urszulanek

w Rokicinach p. Chabówka, tel. Rabka 266

przyjmuje w ciągu roku szkolnego dziewczynki słabe i anemiczne. Pod kierunkiem fachowych sił przechodzą dzieci systematycznie, wg programów państwowych, kurs nauk w zakresie wszystkich klas szkoły powszechnej i I gimn. nowego typu. Prócz tego mogą pobierać lekcje muzyki i j. francuskiego.

Klasy obszerne, słoneczne, umieszczone w nowo nadbudowanym domu, troskliwa opieka i stosunkowo niewielka liczba uczennic umożliwiają nawet słabszym dziewczynkom rozwinięcie swoich zdolności.

Koszta utrzymania wraz z nauką wynoszą do 100 zł. miesięcznie.

Przyjmuje się również panie: urzędniczki, nauczycielki; studentki, które znajdą tutaj miły i zdrowy wypoczynek.

OD REDAKCJI.

Otrzymałyśmy list treści następującej i dzielimy się urywkami z niego:

...Ogromnie mi się podobał ostatni numer „Dziś i Jutro", a artykuł wstępny dał mi wiele do myślenia. — Dyskutowałyśmy dłuższy czas na temat tego „błędu ludzkości". Zdania były bardzo ciekawe i choć rozmowa jałowa w wyniku, ale bardzo nam „odświeżyła" myśli. Wdzięczne szczerze jesteśmy za ten artykuł... Ogromnie mi się podobała *„Tragedja piękna"*... a *„Metafizyka"* wszystkim się bardzo także podoba"...

...Zaciekawił mnie artykuł *„Życie"*. Kto to jest „T. M.", chociaż to pewnie tajemnica, ale z przyjemnościąbym z tą osobą porozmawiała. Takbym chciała wprowadzić dyskusję na tematy omawiane w „Dziś i Jutro". Taka wymiana zdań bardzo zespala z pismem i wywołuje indywidualne zainteresowanie tym zbiorem kart...

Dena Mazaraki (Warszawa).

Od Redakcji do autorów „Dziś".

P. Dena Mazaraki. — Za słowa uznania wdzięczne jesteśmy. Przy widzeniu zdradzę tajemnicę, kto jest S. M. T. twórczyni „Metafizyki" i „Tragedji piękna". Wierzę, że współpracownikom ten rodzaj poezji odpowiada, ale czy dla czytelników nie jest za... czas to wskaże.

Pseudonim „T. M." wkrótce będzie znany Redakcji, a zależnie od woli będzie, lub nie, odkryty ogółowi, ale proszę wszcząć właśnie z tym anonimem dyskusję na temat „Życia". Redakcja najchętniej służy miejscem do przeprowdzenia takiej polemiki. Proszę zacząć.

P. Marcinkowska-Buderowska. — Składamy serdeczne życzenia naszej dawnej współpracowniczce a dziś młodej mężatce. Szczęść Boże na nową drogę życia! Prosimy bardzo o naszem piśmie pamiętać.

Chętnie witamy nową pracowniczkę z Gniezna. Prosimy także propagować nasze pismo w szkołach.

Od Redakcji do autorów „Jutro".

„M. T." Prosimy podać adres, nazwisko i klasę. Imię może dalej być ukryte, a tylko w dyskrecji zupełnej znane Redakcji, która jest zmuszona prosić o przysyłanie prac nieanonimowo. Oświadczamy, że w przyszłości nie będziemy mogły anonimowych prac umieszczać.

„Wanda". Racja, pseudonim zbyt wyszukany. — Jestem za tem jednak, aby mieć odwagę i podpisywać się pełnem nazwiskiem, chyba, że są ważne racje, aby używać pseudonimu. Więc w tem, jak i w wielu sprawach, niech będzie wolność dzieci Bożych i indywidualne racje, których Redakcja zagłuszać nie ma zamiaru. „Nowy i Stary rok" nieaktualny, pójdzie jednak do teki, a nie do kosza — może powita rok 1936. Ogólnie forma jest znacznie lepsza, ale brak jeszcze tężyzny i jędrnej treści. Proszę dalej pracować, byle obowiązków szkolnych nie zaniedbywać.

D. Wojtasikówna. Dziękujemy serdecznie za łamigłówki. Do współpracy na zupełnie dowolne tematy bardzo zapraszamy. Może lepiej zacząć od opisów, ale i nowelkę dobrą chętnie umieścimy w dziale „Jutro". — Opis feryj już w tym roku nie na czasie — może coś ze sportu lub z organizacyj szkolnych będzie odpowiednim tematem.

Szarada sylabowa.

Gdy zbrodnie trwają już zbyt długo,
Wnet sprawiedliwość **pierwszą** — **drugą**
Wymierza. A znów **piewsze** — **trzecie**
Często w naszych kuchniach znajdziecie;
Tam z nich niejedna widzieć da się,
Wśród garnków, w dymie i hałasie,
Jak **trzecia** — **pierwsza** energicznie
Kotlet. Zaś **całość** w wodzie ślicznie,
Wesoło sobie tak pływają...
Zgadnijcie, jak się nazywają?

CZASEM...

Czasem o wieczornym zmroku,
Gdy wszyscy zapomną o mnie,
Mam chwile pełne uroku,
Które tak lubię ogromnie.
Mych marzeń świat wtedy wstaje
Me najpiękniejsze złudzenie ...
Wierny druh, troska, ustaje.
Szkoda, że przyjdzie zbudzenie...

Emi ucz. kl. VII.

TREŚĆ N-ru 6-go:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 7 ZŁ.
Numer pojedynczy 0·70 zł.
Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Zofja Zakrzewska.
Adres Redakcji; Kraków. ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.